

DZISIAJ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 5 lutego 1956 r.

Nr 5 (531)

JACEK DĘBIŃSKI

Humanizm czy hedonizm?

STARE przysłowie powiada: lepiej późno niż nigdy. Najwidoczniej w myśl tej zasady odkryliśmy w roku 1955 istnienie życia seksualnego, małżeństwa i rodziny, jak się można zorientować — dla niektórych autorów problemem całkiem nowym. Znalazłyby się przesłanki dla stwierdzenia, że właśnie dopiero w związku z tymi problemami zarysowały się dla wielu zabierających głos w dyskusji jakieś bardziej realne ramy dla dyskusji o moralności, co już samo przez się stanowi poważne osiągnięcie metodologiczne.

Niewątpliwie dobre chęci i szczerzy zapał dyskutantów nie zawsze mogą jednak w pełni usprawiedliwić dezygnację i swoisty brak poczucia odpowiedzialności, które cechowały część wypowiedzi, nie dość chyba przemyślanych i dojrzałych. Ponieważ zaś dyskusja toczy się wcale nie wokół abstrakcyjnych spraw „moralności w ogóle”, częściej na łamach prasy codziennej, tym większa może być szkodliwość społeczna tych niedojrzałych wystąpień. Żeby z góry wykluczyć ten typ „argumentacji”, którym dość często przytękać były już i dotychczasowe wypowiedzi, żeby jednym słowem uprzedzić tanie zarzuty pruderii, zakłamania itp., warto sprowadzić dyskusję na płaszczyznę praktyki i polityki społecznej socjalizmu; warto jej nadać walor ważności i wartości obiektywnej dla wszystkich ludzi, połączonych wspólną troską o postęp i prawidłowy rozwój naszego społeczeństwa.

Przede wszystkim więc może warto przypomnieć, że instynkt albo popęd płciowy nie jest z przyrodniczego punktu widzenia jakimś celem samym w sobie, ale służyć ma utrzymaniu gatunku, tak samo jak np. zmysł smaku nie służy zaspokajaniu samego siebie, lecz podporządkowany jest potrzebom biologicznym organizmu.

To po prostu, naukowy przyrodniczy punkt widzenia! Podobnie jak inne instynkty, np. jak również chyba przemożny instynkt samozachowawczy, instynkt płciowy podlega u człowieka kontroli ze strony świadomości, w której nie tylko znajduje odbicie, ale również powinien znajdować ocenę, na równi z innymi docierającymi do niej faktami. W odróżnieniu od zwierząt, u których zaspokajanie instynktów następuje „mimowolnie”, z przyrodniczą koniecznością, bez udziału świadomości, u przedstawicieli gatunku *homo sapiens* instynkty przejawiają się zawsze, z przyrodniczą koniecznością, z udziałem świadomości i pod jej silniejszą lub słabszą kontrolą.

Jakże uboga i szara byłaby historia, jakże ubogie i szare życie, gdyby człowiek pozbawiony był możliwości kontrolowania swych instynktów i panowania nad nimi. Słownictwo zubożyłoby się o takie pojęcia, jak np. bohaterstwo, heroizm oraz cały zasób innych pojęć wartościujących, a świadomość człowieka, pozbawiona kontroli nad zmysłami, nigdy zapewne nie pozwoliłaby mu wyjść ze stadium prymitywnej, zwierzęcej walki o byt i wznieślić na jakikolwiek wyższy szczebel rozwoju społecznego, nie potrafiłaby przełamać siły żywiołowo przejawiających się instynktów.

Z rozważań tych, które za truzimny mógłby uznać tylko ten, kto nie czytał uważnie wielu opublikowanych ostatnio wypowiedzi na temat życia seksualnego, małżeństwa i rodziny, pozwól sobie wyciągnąć pierwszy wniosek: człowiek ma świadomość swych instynktów, może nad nimi panować, kontrolować je i podporządkowywać przyjętym przez siebie systemom wartości — może więc dawać im upust lub tłumić je w zależności od swego uznania; może w niebezpieczeństwie ratować się pierwszym ucieczką lub też dać pierwszeństwo słabszym, chorym, kobietom i dzieciom; może torturowany wydać swych ideałów współtowarzyszy dla ocalenia życia i zaspokojenia instynktu samozachowawczego lub milczeć i zgnąć. Historia, ba! — każdy nowy dzień przynosi miliony dowodów panowania świadomości człowieka nad jego instynktami, przynosi miliony dowodów tego, co zwykliśmy nazywać człowieczeństwem. Oczywiście to, że człowiek może panować nad swymi instynktami, wcale nie jest równoznaczne z tym, że zawsze musi to robić, i że zawsze robi. Zależy to od ukształtowania jego świadomości, od jego poglądów, jego oceny. A to są już spr-

awy wiążące się *par excellence* z udziałem człowieka w życiu społecznym.

Zasługą materializmu historycznego jest wykazanie niewątpliwego wpływu, jaki na regulację życia płciowego i jej formy miała dynamiczna struktura społeczeństwa w rozwoju historycznym. W szczególności na podkreślenie zasługują dwa istotne czynniki, wpływające na historyczne ukształtowanie się rodziny jako instytucji społecznej: wpływ stosunków własności na stosunek do potomstwa oraz na formy wzajemnych stosunków pomiędzy kobietą i mężczyzną. Wykazanie dość ściśłego związku pomiędzy ewolucją ustroju społecznego, a faktycznym ukształtowaniem się form stosunków między płciami nie nawsza większych trudności. Prawidłowość ta jednak nie dotyczy w pełni dziedziny idei związanych z życiem seksualnym, małżeństwem i rodziną, idei niezmiennych, które w pewnym stopniu niezależnie funkcjonowały w naszej cywilizacji w każdym bądź razie od około dwóch tysięcy lat. Krótko: historycznie zmieniały się niewątpliwie faktyczne formy stosunków między ludźmi, ale równocześnie funkcjonowała niejako „ponad historią” idea monogamicznego małżeństwa zarówno jako norma moralna, jak i wyraz tęsknoty przede wszystkim kobiety w społeczeństwach klasowych upośledzonej i pozbawionej najczęściej faktycznej możliwości decydowania o swoim losie.

Ta norma moralna, pierwotnie przede wszystkim chrześcijańska, a następnie, w czasach nowszych, na gruncie naszej cywilizacji zobiektywizowana jako powszechnie obowiązująca norma społeczna, wpływała zarówno na ustawodawstwo, jak i na ukształtowanie powszechnej opinii. Jej sens sprowadzał się zawsze do postulowania dobrowolnego, opartego wyłącznie na wzajemnym uczuciu i szacunku, monogamicznego związku mężczyzny i kobiety, służącego stworzeniu trwałej rodziny, jako podstawowej komórki życia społecznego. Wpływ na jej interpretację i praktyczną obowiązywanie „obiegową wersję” odgrywali przede wszystkim mężczyźni, ponieważ kobiety pozbawione były wpływu na życie społeczne we wszystkich społeczeństwach klasowych. Ta praktyczna interpretacja, narzucała zależnym kobietom przez mężczyzn, podlegała oczywiście różnorodnym wpływom społecznym, obciążonym wszystkimi konfliktami i antynomiami „oficjalnego”, klasowego społeczeństwa. Monogamiczna, trwała rodzina jako norma nie umarła śmiercią naturalną nawet w najmniej sprzyjających okolicznościach społecznych, pieczołowicie pielęgnowana przez kobiety, chroniona przez religię i Kościół. Nie uległa również w niczym deprecjacji przez fakt jej częstego łamania i wypaczania — z czym jednak ze względu na jej zobiektywizowaną wartość i potęgę opinii musiano się najczęściej kryć — ani przez niedoskonałość struktury społecznej, w której jej powszechna realizacja natrafiała na najpoważniejsze przeszkody, ani przez fakt jej pozornej bezwzględności i brutalności, gdy była zastosowana w warunkach przymusu i sprzeczności społecznego godziła w jedności przybierając wobec nich postać bezwzględnej, niesprawiedliwego wyroku, przykuwającego wbrew skłonności i woli... Jednym słowem przetrwała próba historii jako norma humanistyczna, jako cel, do którego należy dążyć, jako wyraz powszechnych pragnień i tęsknot ludzkich, zmierzających zawsze do pewnych celów idealnych. Na równi np. z ideą sprawiedliwości społecznej czy wyzwolenia kobiety — była w gruncie rzeczy przez długie wieki przedmiotem walki w społeczeństwach antagonicznych, walki toczzonej przez Kościół, moralistów i kobiety, przez przedstawicieli nurtu humanizmu przeciw schyłkowemu, hedonistycznemu prądom w kulturze, niesionym najczęściej przez upadające klasy społeczne.

Celne i słuszne zarzuty zakłamania i pruderii, wyrażające moralny protest przeciw sprzeczności praktyki i normy, godziły więc zawsze nieprzypadkowo przede wszystkim w warstwy „oficjalnego społeczeństwa”, których praktyka społeczna klęczała się zazwyczaj z podstawowymi normami moralnymi również we wszystkich innych dziedzinach życia. Trudno nie wspomnieć w

tych miejscu połącznego protestu mas ludowych i ich walki przeciw „*tus primae noctis*” lub choćby Moniuszkowskiej „Halki”. Zepsucie, rozkład moralny i zakłamanie, charakteryzowały zawsze przede wszystkim klasy panujące, tradycyjnie stanowiące przedmiot zainteresowania literatury — głównego źródła naszych potocznych informacji o dawnej obyczajowości — w znacznie mniejszym stopniu natomiast masy ludowe, żyjące prościej i kierujące się w swym postępowaniu znacznie większą prostolinijnością i moralnością. Zachodzi więc pytanie: kogo miało na myśli Irena Krzywicka dokonując w swym artykule, zmieszczonym na łamach „Nowej Kultury” („Kryzys małżeństwa? Ale jakiego?”, „Nowa Kultura” Nr 2 (302) z 8 stycznia 1956 r.) swoistej „periodyzacji” instytucji małżeństwa, mówiąc o „konkretno-historycznym” małżeństwie feudalnym, arystokratyczno-burżuazyjnym i wiktoriańskim, jakie to klasy społeczne stanowiły przedmiot jej badawczego zainteresowania — trzeba przyznać ograniczonego! — i czy to właśnie postulat „historyczmu i dialektycznemu” inspirował ją do pominięcia w swych rozważaniach obrazu małżeństwa ludowego, małżeństwa prostych ludzi, może jak dla Ireny Krzywickiej... zbyt „purytańskie”? Wreszcie, co upoważnia Irenę Krzywicką do rozciągania wniosków wynikających z tej nader dowolnej periodyzacji i przykładu Dickensa na instytucję małżeństwa w historii w ogóle.

Wróćmy jeszcze na chwilę do „Halki” i wyobraźmy sobie rozm-

wę bohaterki naszej największej, postępowej opery narodowej z Ireną Krzywicką. Halka wyszłaby z tej rozmowy zapewne przekonana, że należą się jej tylko alimenty i powinna być dumna ze swego „dziewczęcego dziecka”. A ten wstecznik i kołtun Jontek wymagałby natychmiastowego skierowania do Ireny Krzywickiej na socjalistyczne rekolekcje.

Do jakiej tradycji nawiązać mamy w warunkach socjalistycznej przebudowy społeczeństwa: do nieograniczonego hedonizmu i bezładu płciowego, jako spędu po rozkładających się klasach panujących, uwolnionego od „pruderijnych kołtunów” obciążenia humanistycznej idei monogamii, czy do niej właśnie, jako idei postępowej, ludzkiej, odzwierciedlającej najpiękniej wyzwolenie kobiety i znajdującej pełniejszą możliwość realizacji dopiero w naszych warunkach społecznych, idei w pełni zgodnej z potrzebami budowy socjalistycznego społeczeństwa i socjalistycznej rodziny, jako podstawowej jego komórki. Odpowiedz na to pytanie, którego istotny sens ujęty został — jak mi się wydaje — w tytule tego artykułu, znaleźć można wyjaśniając sobie społeczny cel instytucji małżeństwa i rodziny oraz humanistyczną treść ustroju socjalistycznego, który wszak realizuje niejedno wiekowe marzenie mas o sprawiedliwości i ludzkich prawach dla ludzi. Takimi drobiazgowi mniej interesuje się co prawda Irena Krzywicka, niemniej przeto nam wydaje się one ważne i istotne — najistotniejsze!

Powróćmy więc do nich jeszcze.

ZBIGNIEW LASKOWSKI

SPRAWY RODZICÓW

WDYSKUSJACH o chuliganstwie i sprawach młodzieży najchętniej powołujemy się na nową: szkołę, świetlicę, organizację młodzieżową itp. — Wszystkie te formy życia społecznego, które urastają pod naszym okiem i skupiają naszą uwagę. Słowo „dom” pada rzadko. Rodzina jest instytucją starą, szacowaną i spowszedniała. Trwa od wieków — o czym tu mówić?

Tymczasem podmiot naszego zainteresowania w domu je i śpi, spędza w nim większość życia i wyrasta ukształtowany pod wpływem stosunków rodzinnych i tych nie raz niewymiernych i nieuchwytnych cech, które zwykło się określać mianem „atmosfery domu”. Jesteśmy o niego spokojni: przyjmujemy instytucję rodziny — a więc i jej sprawne funkcjonowanie skłonni jesteśmy uważać za rzecz oczywistą. Tymczasem 63 proc. nielentych przestępców w Polsce to dzieci, które mają pełną rodzinę. Niemal wszystkie — mieszkają z obojgiem rodziców. Półsiroty mające tylko ojca lub matkę stanowią 31 proc. przestępców. Do takich danych doszedł w swoich badaniach komitetu znawca zagadnienia, profesor Sawicki.

Oczywiście, kryminalistyka to dziedzina specjalna. Niemniej jednak te proporcje nie rozdzieliły się w izolacji. Mają na pewno ogólniejsze źródła i charakteryzują problem. Jeśli 58,6 proc. przestępców to dzieci, które stale spotykają się z obojgiem rodziców, rozmawiają z nimi, są przez nich wychowywane — to w jak ostrym świetle stawia to problem rodziny?

Oczekuje się od niej bardzo wiele. Kościół podkreślił jej wagę przez sakrament małżeństwa, Państwo określa jej zadania wychowawcze ustami prawodawcy w prawie rodzinnym (art. 35): „rodzice sprawują pieczę nad osobą i ma-

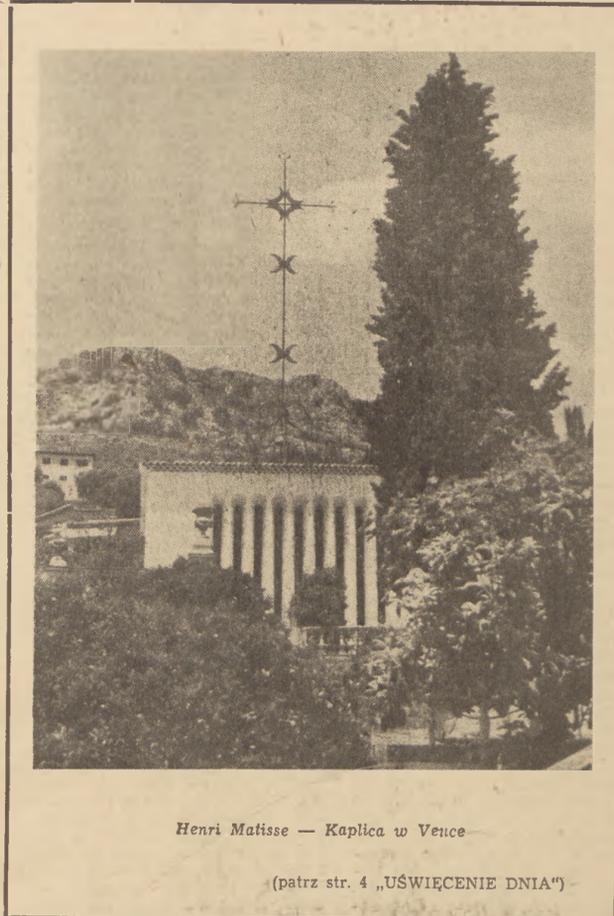
jąłkiem dziecka. Obowiązani są troszczyć się o fizyczny i duchowy rozwój dzieci; powinni starać się o ich utrzymanie i wychowanie tak, aby były przygotowane należycie do pracy dla dobra społeczeństwa, odpowiednio do swoich uzdolnień”. Rozwód „nie jest dopuszczalny, gdyby dobro małoletnich dzieci miało uszkodzić jego ucierpieć” (art. 29 § 2).

Między cyfrą statystyki a intencją prawodawcy kryją się tysiące problemów, trosk, kłopotów, a nie raz i tragedii rodzinnych.

I tragedii dziecka. Chuligan — człowiek, który korzystając ze słabości drugiego człowieka beznamiętnie dla samej satysfakcji poniżenia — będzie bił i niszczył. Postać zdawałoby się nie znająca ludzkiego uczucia i ludzkich odruchów. A przecież nieraz ukrywa się za nią dramat dziecka, które nie zaznało miłości rodziców, które płacząc uczyło się bezlitosnego prawa pięści.

Sędziowie stykają się z oskarżeniami, których w świat nocy i zbrodni wprowadzał bezpośrednio ojciec lub matka. Tragizmem przykładem był niedawny proces braci Dumańskich w Opolu, którzy zamordowali kolegę — ogłuszyli go młotkiem i utopili w stawie — po to, by zdobyć jego zegarek. Świadkowie mówią o przyczynach demoralizacji oskarżonych wskazywali na zły przykład ojca i brak właściwej opieki domowej. Takie typowe kryminalne wypadki są w przekroju społecznym rzadkie. Trudniejszy jest problem, gdy wkraczamy w środowisko ludzi, których tzw. „normalne” postępowanie nie budzi zasadniczych zastrzeżeń (co najwyżej plotki wśród sąsiadów), ludzi, którzy nie są przestępcami, nie występują przeciw innym publicznie, lecz żywią ją się w domu.

To jest ten bolesny problem wewnętrznych dramatów rodzinnych, w których stroną pokrzywdzoną jest



Henri Matisse — Kaplica w Venecji

(patrz str. 4 „UŚWIĘCENIE DNIA”)

niemal zawsze — kobieta. Weźmy sprawę murarza Eugeniusza Bielińskiego. Ceniony w pracy fachowiec maltretuje żonę. Pobił ją nawet tego dnia, gdy rodziła czwarte dziecko. Znęcał się nad matką i narodził brata oglądała czteroletnia córka. Dwoje młodszych dzieci zmarło już w tej rodzinie. Bieliński regularnie pije i katuje. Tak ma zwyczaj w dniu wypłat. Kolegium orzekające wymierzyło mu (bo sprawa pobicia rodzicę przypadkiem wyszła na jaw) — karę 300 zł... Księgowy Zdzisław Kacperek przez 5 lat bił i terroryzował żonę okradając ją jednocześnie z pieniędzy. Dziecko głodowało. Szóstego roku zabił ją i córeczkę. Niewinnie w tej kolekcji wyglądał postać alkoholika, który wracając po libacji wyrzuca dziećmi wraz z matką na deszcz czy śnieg. Lubi bowiem w takich chwilach spokój. Absolutny spokój. Gdy żona rodziła — jedynie interwencja sąsiadów powstrzymała go od wystawienia łóżka z rodzącą na dwór. Wystarczy przejść się po warszawskiej Pradze i wstąpić do renomowanego „Zagłoby”, czy „Albatrosa”, aby zebrać podobnych kwiatków więcej. W Instytucie Psychiatrycznym w Tworckach powiedzą wam o wielu wypadkach ciężkich chorób spowodowanych zezwierzczeniem męża. To nie tylko skutki bicia. To również ujemny szantaż psychiczny zalamuje ofiarę.

W takich domach dziecko — oceniając formalnie — nie uczy się przestępstwa. To nie są rodziny kryminalistów — tych ludzi, których przywykliśmy nazywać złodziejami i bandytami. To są „po prostu” złe rodziny. I takie sprawy jako ich sprawy wewnętrzne prawie zawsze pozostają w ukryciu. Najczęściej na światło dzienne wyleka je przypadek.

Co ma kobieta na obronę swojej i dziecka? Niewiele. Dotychczas prawo nie wkraczało automatycznie.

Obowiązujący przedwojenny kodeks karny uważał pobicie, które wywołało chorobę trwającą krócej niż 20 dni, za sprawę prywatną wymagającą oskarżenia poszkodowanego. Tylko nieliczne spośród maltretowanych decydowały się oskarżać. Ta, która kocha i przebacza, nie chce pogarszać sytuacji, katowana i zastraszona łof się zemsty. Istnieje wprawdzie przepis w kodeksie postępowania karnego, który przewiduje, że prokurator może samorzutnie wystąpić w sprawie oskarżenia prywatnego, jeżeli uzna, że tego wymaga interes publiczny, lecz w praktyce — w praktyce prokurator najczęściej po prostu o niczym nie wie. Milicja często odmawiała interwencji w wypadkach „dyskusji” rodzinnych. Dopiero niedawno otrzymała polecenie ingerowania na prośbę poszkodowanego,

Projekt nowego kodeksu karnego nie jest tak pobłażliwy. Ale dotychczas, w tych warunkach, gdy nie było sformułowanych ostrych norm prawnych, przez długie lata rodzinni bandyci byli w praktyce bezkarni, a dzieci rosły w ciągłym strachu. Według oceny Głównego Ośrodka Zdrowia Psychicznego ok. 70 proc. dzieci nerwicowych pochodzą z złych rodzin. Wyrastali ludzie obarczeni psychozami, wyrastali przestępcy.

W toczących się dyskusjach o rozwodzie, zagadnieniem skupiającym uwagę był wzajemny stosunek małżonków. Niewiele zastanawiano się nad tym, w jaki sposób pośpieszna decyzja małżeństwa może zaważyć na przyszłym losie dzieci. Bo przecież oprócz otwartej wojny, w którą wkracza prawo, jest jeszcze problem zimnej wojny, zagadnienie, którego nie uchwyca żadne statystyki: sprawa małżeństw formalnych, gdy dwoje ludzi dało sobie rozwód wewnętrzny, żyje już tylko w małżeństwie „kwaterunkowym”,

(Dokończenie na str. 2)

SPRAWY RODZICÓW

(Dokończenie ze str. 1)

Gdy dziecko chłonie atmosferę nienawiści, wzajemnego konfliktu i narażania nienawiści, gdy wreszcie maż (bo o mieszkaniu osobne jest trudno) wprowadza do wspólnego domu drugą kobietę. Dobro dzieci wymaga w takich wypadkach separacji — i przyznania takim rodzinom pierwszeństwa w kwatunku w zamianie mieszkania.

Projekt nowego kodeksu karnego przewiduje ostrzejsze sankcje — np. każde pobicie bęz.e automatycznie ścigane przez prokuratora z oskarżenia publicznego — niemniej jednak (tu ukłon m. in. w stronę organizacji społecznych, które dotychczas przejawiały wiele zimnej krwi i stoickiego spokoju) — to nie powod, aby w pełni zaufania do władz wygodnie umyć ręce. Prawo i milicja same nie rozwiążą wszystkich problemów. Nie tylko dlatego, że aoy ingerencja władz nastąpiła — to musi ktoś te władze zawiadomić. Prawo wraca dopiero wtedy, gdy fakty już nastąpiły. A sens tkwi w zapobieganiu im, w wychowaniu rodziców. I tu właśnie potrzebny jest nacisk opinii.

Z tą reakcją opinii bywa różnie. Nie czujemy się odpowiedzialni za innych, nie lubimy podnosić piłkówek z rymszki, ani chwytac za pasek uczniaka skaczącego do tramwaju. To jest sfera „nic” spraw. Czasem reagujemy na bojkot uliczny, ale z chwilą gdy chodzi o „sprzeczkę” matkęską najczęściej ręce nam opadają i zamieniamy się w neutralnych obserwatorów, a już nigdy niemal nie mieszmym się do spraw w czterech ścianach domu. „Wolność Tomku”...

Pokutuje wciąż u nas jakieś najbardziej taisywe, zakampane pojęcie o prawie do obywatelskiej moralnej, gdy w grę wchodzi wzajemny stosunek ludzi związanych wzajemnie pokrewieństwem. O ich wzajemnym postępowaniu można wyrazić sądy — mio jest popiółkować — natomiast nie wypada wtrącać się i dziarac.

Myślę, że wymaga generalnej zmiany nasz stosunek do tzw. spraw prywatnych, w których sławka jest człowiek.

Opinia społeczna to zadanie środowiska prywatnego i środowiska pracy. Tutaj wiele dobrego mogłyby zdziałać nowopowstające sądy koleżeńskie. Działając bezpośrednio wśród „zainteresowanych” — mogą najskuteczniej i skutecznie reagować. Tym bardziej skutecznie, że sztywne przepisy kodeksu karnego uderzając w winnego, najczęściej nie są w stanie naprawić krzywdy, a sądy koleżeńskie mogłyby elastycznie dostosować decyzje do potrzeb poszkodowanego (np. przmysłowy ocobor pensji piłkarskiej żonę). No i warto by stworzyć również pojęcie „chuligana rodzinnego”, zając się tym gatunkiem serdeczniej i zafunusować mu trochę reklamy w prasie.)

Gdy chodzi o dobro dziecka, to prawo wręcz z a d a od nas aktywności. Ustawo dzieci w Polsce znajdują się pod wspólną opieką nas wszystkich. Każdy ma prawo i o b o w i a z e k ingerowania w wypadku nie tylko krzywdy, lecz jakkolwiek objawów złego wychowania dziecka. Najdalej w ciągu dwóch tygodni od chwili dowiedzenia się o niewłaściwym postępowaniu rodziców należy zawiadomić władzę opiekuńczą, którą jest sąd powiatowy. Za niewypełnienie tego obowiązku może zostać nałożona grzywna do 300 zł. Sąd naznacza kuratora, zawieszca, lub nawet odbiera prawa rodzicielskie.

Jednym z najważniejszych czynników kształtowania opinii jest embona. Kazanie ze względu zarówno na autorytet Kosciuszka, jak i zakres oddziaływania może tysiące ludzi zmusić do myślenia. Idzie o język kazań, sposób argumentacji, dostosowanie ich do potrzeb słu-

chacza. Zwłaszcza w miastach, gdzie wierni spotykają się co dzień z argumentami racjonalnymi, gdzie wielu ludzi ma nie tylko uczuciowy, lecz i intelektualny stosunek do religii. Nie wiążą powodów, dla których nie mogą być cytowane przez Kapiana np. reportaże ooczajowe, a kawał życia w nich tkwiący nie miał być tematem wnikliwej analizy moralnej przeprowadzonej z wysokimi analitycznymi i kontrowersyjnymi elementami z niezłym zyciem Jesu kłmiecza, a kazania powinny być dostosowane do konkretnych potrzeb, kłopotów i trosk, do zagadnień, którym żyje słuchacz i w rozwiązaniu których czeka na pomoc Kosciuszka. Jeśli tej pomocy nie otrzymamy, będzie jej szukać poza Kościołem. To nie tylko problem skrocinny winnego męża, lecz i problem zwątpienia jego żony.

BYŁOBY uproszczeniem, gdybyśmy szukali źródeł chuliganstwa tylko w rodzinach pijaków, sadyistów i kryminalistów. W sławnym pociągu jadącym na akcję zniżką, nazwanym przez prasę „pociągiem widmo” za białki i noze chwytali chłopcy o najlepszej opinii, dzieci z tzw. „dobrych domów”.

Przebieg lat zagadnienie wychowania nie było postawione w oświeceniu wielkich dyskusji. Prasa, radio, film wreszcie pozostawiały je na uboczu swoich zainteresowań. Jedynie śmiało i ostro „zagajanie dyskusji” przyszło z Francji: film Cayatte’a „Przed potopem” (nasza „Piłaka” z ulicy Barskiej) wprowadziła porażającą zagadnienie wychowania młodzieży, ale pokazywała tylko ułamki rekonwalescencji nie zastanawiając się głębiej nad przyczynami choroby. Większość krytyki przyjęła film jednostronnie. Został on odczytany jedynie jako obraz analizujący problem typowy, dla całejki kapitalistycznej Francji (problem zmanej wojny, przyjęty jak informacja zagraniczna PAP-u: taka, która interesuje, lecz nas nie dotyczy. Po kinie można spokojnie iść na kawę...

Wątpię. — By jednak zasnac trochę, uwolnijmy, trzeba odjąć z „Potopem” własną historię i rzeczywistość. Właśnie spojrzeć na obraz siodłowski, odsłonić mechanizm wywołania „Potopu” to nie tylko film polityczny, to również doskonałe studium pedagogiczne dokonane przez człowieka, który we wszystkich swoich filmach z pasją atakuje drażliwe problemy społeczne, zaciekle oszukuje się prawdy. Sądzę, że wielu z nas może na ekranie — w mniej lub bardziej krzywym zwierciadle — przyrzec się własnym błędom.

Przykład „pociągu widma” i film Cayatte’a wskazują na najbardziej rażące konsekwencje, do jakich może doprowadzić błędna postawa, czy brak dostatecznej opieki rodzicielskiej. Ostanekowicz w swoich reportażach podawał nawet przykład profesora (najsumniejszego, gdy błądy popełniają ci, którzy mają wszelkie dane, by rozumieć swoje obowiązki), który powodowany ojcowską oburczą ukrywa i tuszuje przestępstwa syna ucząc go własnym przykładem cynizmu i lekceważenia zasad współzycia społecznego — tego lekceważenia, które stanowi według teoretyków prawa istotę chuliganstwa. Nie można jednak zarzutów generalizować. Chuligan jest symbolem — typowy problem to sprawa dziecka przeciętnej, wychowywanego przez przeciętną rodzinę.

Sytuacja rodziców nie jest łatwa. Obok rodziny wyrósł w ciągu lat wśród starszych dzieci autorytet organizacji młodzieżowej jako instytucji oceniającej i kształtującej stosunek do świata. Niedostateczna rozwiązaną jest sprawa współpracy z organizacją młodzieżową i szkoły. Przeciężona szkoła — wiemy, ile obowiązków mają nauczyciele — nie może poświęcić zbyt wiele uwagi uczniom. Organizacja młodzieżowa (zwłaszcza harcersstwo) wciąż jeszcze poszukują właściwych metod pracy i nie stanowią dostatecznej pomocy dla domu.

Frekwencja we wprowadzanych na próbę poradniach pedagogicznych i zainteresowanie, które obudził niedzielną uniwersytet dla rodziców w Lublinie, dowodzą, że dom zdaje sobie sprawę z trudności wychowawczych, chce uniknąć mechanicznego rozwiązywania konfliktów i pragnie zwiększyć swoją wiedzę pedagogiczną. Wskazują zarazem na palącą potrzebę takich placówek.

Niezależnie od sprawy umiejętności i właściwego postępowania rodziców błędy w wychowaniu wynikają również z przyczyn mających swoje źródło poza domem. W wielu rodzinach pracuje zarówno ojciec, jak i matka. Nasza organizacja życia wciąż jest jeszcze prymitywna. Na kradzież czasu i sił, które można by poświęcić dla domu, składa się cały zespół czynników.

Potrzebna nam jest lepsza komunikacja, muszą być szybkie bary samoobsługowe (a nie restauracje typu „kolega”), lepsze wyroby gar-

mażeryjne ułatwiające gotowanie obiadów, lepsza sieć usługowa itp. Są trudności — np. komunikacyjne — które mają swoje poważne przyczyny. Możemy je zrozumieć. Natomiast nieudolność czy lenistwo naszych gastronomów, którzy od lat obiecują bary samoobsługowe i nawet wożowali za granicę, by podpatrzeć wzory (np. o Czechosłowacji, gdzie ta forma obsługi klienta jest szeroko stosowana) irytuje i jest nie do przyjęcia. Bary są przykładem jednym z wielu. W takich i im podobnych wypadkach tłumaczenie wiroskatego — to dziś modne — biurokracją i skrupowaniem przez przepisy jest, wydaje mi się, tylko próbą ukrycia istoty zagadnienia, które polega na wciąż jeszcze niedostatecznym poczuciu wspólnej własności i wspólnego dobra — postawie „pracy dla innych”, a nie „dla siebie”. Mówiąc prosto: czy gdyby to miała być twoja (i dochodowa) restauracja, dyrektorze, czybyś wtedy nie stanął na głowie, żeby postawić na swoim i ją otworzyć?

Tyle o życiu „pożadomowym”. Z drugiej zaś strony powszechne jest niedocenienie organizacji życia w domu. Mówiono mi np., że przy opracowywaniu jednego z projektów typowej kuchni, gdy rozważano, czy umieścić zlew koło stołu kuchennego — za cenę kawałka dłuższej rury wodociągowej (chodziłoby o 100 zł) — zdecydowano się na „oszczędność” i skrócono rurę nie biorąc pod uwagę, ile dodatkowych kilometrów zrobi dziennie gospodyni. Dosłownie kilometr! Doświadczenia wykazały, że pani domu robi co dzień w kuchni spacer — o ile pamiętam — 15 kilometrów. Wątpię, czy którąkolwiek gospodynię uszczęśliwiła biała sama praca. — Jeśli jest bezcelowa, budzi tylko rozgorczenie. (Trzeba wreszcie jasno, bez niedomówień powiedzieć, że podstawową pracą społeczną jest wychowanie dzieci).

Nielatwie są jeszcze warunki życia. Sytuacja kobiety zmieniła się — ma ona równe prawa i zarobki, poważanie w pracy. Praca zawodowa daje dziś kobiecie możliwość satysfakcji. Ale jeśli cały szereg zawodów, w których prace są jeszcze niskie i rodzice muszą pracować obywatel, gdyż pensja matki jest niedostateczną pozycją w budżecie. Dotyczy to szeregu pracowników niezatrudnionych w przemyśle czy budownictwie — pracowników handlu, szpitalnictwa, administracji, ekspedientów, urzędników itp. Na problem płac w tych zawodach zwrócił uwagę Lovell w reportażu w „Zyciu Literackim”. Zagadnieniem specjalnym jest sprawa zarobków wykwalifikowanej inteligencji z ukoniecznym studiami wyższymi: prokurent, bankowy zarabiający 1.200 zł, nie praktykujący lekarze itp. — ludzi, którym stosunek niskie przeciętne zarobki dają tylko częściowe zadośćuczynienie za wkład pracy włożony w studia. Dysproporcje w zarobkach wpływają na młodzież. Jeżeli chłopak bez specjalnego wykształcenia może zarobić półtora tysiąca, czy dwa tysiące złotych — czyli więcej od absolwenta wyższej szkoły — to chyba zanika tu bodziec do samokształcenia, dewaluje się wartość pracy umysłowej.

Wojna, konieczność odbudowy w ogóle i potrzeba zmiany struktury gospodarce kraju spowodowały konieczność położenia nacisku na pracę związaną z inwestycjami. Stąd uprzywilejowanie przemysłu i budownictwa. Dziś na prace w pozostałych zawodach wpływa szereg aktualnych przyczyn. W administracji np. kuleje organizacja pracy; zbyt duża nieraz ilość ludzi w stosunku do zadań powoduje, że jednostkowa wydajność (a więc i opłacalność ich pracy) jest w efekcie niska. To cały skomplikowany spłot zagadnień, które nielato jest rozwiązać. Zaczęto już o tym myśleć — akcja likwidacji przestojów prowadzi do zwiększenia wydajności pracy a więc i większego wynagrodzenia.

Obecnie jednak wciąż aktualny jest problem zarobkowej pracy matki. Przy niewystarczającej jeszcze opiece pozadomowej jej praca, zwłaszcza w pełnym wymiarze godzin, równa się zmniejszeniu możliwości opieki nad dzieckiem. Daleko idące świadczenia socjalne ułatwiają sytuację rodziców, ale nie rozwiązują sprawy w wypadkach, w których konieczna jest ich bezpośrednia opieka. Jest to istotne zwłaszcza dla rodzin wielodzietnych.

Wielokrotnie dyskutowano konieczność umożliwienia dobrej zabawy i rozrywki starszej młodzieży. Irytujące są te dyskusje. Tak niewiele przynoszą. Są w Berlinie „Ballhausy”, w których za opłatą jednej czy dwóch marek młodzież może się wytańczyć co dzień, ile tylko zechce. Nas stać — ale na wytworne kawiarnie. O wiele za mało jest kin. Jeżeli jednak z funduszy ogólnych nie możemy przeznaczyć — według projektu planu pięcioletniego — na kina więcej niż 169 mln. złotych (z czego jedną trzecią zabierze Warszawa, w której widzą 2,5 raza mniejszą możliwość oglądania filmów niż przed wojną) co wystarczy nam tylko na wybudowanie kin z około 23 tys. miejsc — to czy nie byłoby rzeczą słuszną wyjście z inicjatywą lokalną? Kraków rozwiązał tradycyjny kłopot z resztą w tramwaju. Przeznaczony pięciogroszówki na swoje potrzeby kulturalne i pozbył się szeregu kłopotów. 50-groszowa dopłata

w miastach do rskich przecież cen biletów kinowych dałaby już w ciągu jednego roku około 70 mln. złotych! To są przykłady spraw, które mogłyby rozwiązać inicjatywa społeczna.

SPECYFICZNE warunki po wojnie nazwały wynagrodzenia i ukazałoby ideal życia stęszczający się w sformułowaniu: życie to walka rewolucyjna i praca. Brak było wartościowania stery „życia prywatnego”. Pociągnięto to daleko idące konsekwencje. Tu można znaleźć przyczynę niedoceniania w praktyce zagadnień moralnych, źródło bierności wobec „chuligaństwa rodzinnego” i tolerowania podwójnego życia: przedownik w pracy — awanturnik w domu. To również częściowo było przyczyną braków (obok trudności gospodarczych) w zakresie ułatwień życia domowego. U ludzi odpowiedzialnych za produkcję, czy sprzedaż nie wytworzyło się poczucie odpowiedzialności i nie czuli oni nacisku społecznego. (Robotnik budujący hutę wiedział, że twarży rewolucję, ekspedient sprzedający talerze nie miał tego przekonania). To również wpłynęło na obniżenie autorytetu rodziny wśród samej młodzieży oraz powodowało niedocenianie obowiązków rodziców, wkładu ich pracy w dom i było niejednokrotnie przyczyną ich rozgorczenia. Nie bez kozery na jedne z niedawnych sesji warszawskiej DRN Śródmieście postawiono wniosek, by rada rzuciła swój autorytet na szalę i zobowiązała zakłady pracy do zwalniania matek od pracy społecznej. Motyw: dzieci znanych, cenionych działaczy społecznych pozbawione opieki rodzicielskiej stają się chuliganami. (Trzeba wreszcie jasno, bez niedomówień powiedzieć, że podstawową pracą społeczną jest wychowanie dzieci).

Nielatwie są jeszcze warunki życia. Sytuacja kobiety zmieniła się — ma ona równe prawa i zarobki, poważanie w pracy. Praca zawodowa daje dziś kobiecie możliwość satysfakcji. Ale jeśli cały szereg zawodów, w których prace są jeszcze niskie i rodzice muszą pracować obywatel, gdyż pensja matki jest niedostateczną pozycją w budżecie. Dotyczy to szeregu pracowników niezatrudnionych w przemyśle czy budownictwie — pracowników handlu, szpitalnictwa, administracji, ekspedientów, urzędników itp. Na problem płac w tych zawodach zwrócił uwagę Lovell w reportażu w „Zyciu Literackim”. Zagadnieniem specjalnym jest sprawa zarobków wykwalifikowanej inteligencji z ukoniecznym studiami wyższymi: prokurent, bankowy zarabiający 1.200 zł, nie praktykujący lekarze itp. — ludzi, którym stosunek niskie przeciętne zarobki dają tylko częściowe zadośćuczynienie za wkład pracy włożony w studia. Dysproporcje w zarobkach wpływają na młodzież. Jeżeli chłopak bez specjalnego wykształcenia może zarobić półtora tysiąca, czy dwa tysiące złotych — czyli więcej od absolwenta wyższej szkoły — to chyba zanika tu bodziec do samokształcenia, dewaluje się wartość pracy umysłowej.

Wojna, konieczność odbudowy w ogóle i potrzeba zmiany struktury gospodarce kraju spowodowały konieczność położenia nacisku na pracę związaną z inwestycjami. Stąd uprzywilejowanie przemysłu i budownictwa. Dziś na prace w pozostałych zawodach wpływa szereg aktualnych przyczyn. W administracji np. kuleje organizacja pracy; zbyt duża nieraz ilość ludzi w stosunku do zadań powoduje, że jednostkowa wydajność (a więc i opłacalność ich pracy) jest w efekcie niska. To cały skomplikowany spłot zagadnień, które nielato jest rozwiązać. Zaczęto już o tym myśleć — akcja likwidacji przestojów prowadzi do zwiększenia wydajności pracy a więc i większego wynagrodzenia.

Obecnie jednak wciąż aktualny jest problem zarobkowej pracy matki. Przy niewystarczającej jeszcze opiece pozadomowej jej praca, zwłaszcza w pełnym wymiarze godzin, równa się zmniejszeniu możliwości opieki nad dzieckiem. Daleko idące świadczenia socjalne ułatwiają sytuację rodziców, ale nie rozwiązują sprawy w wypadkach, w których konieczna jest ich bezpośrednia opieka. Jest to istotne zwłaszcza dla rodzin wielodzietnych.

Wielokrotnie dyskutowano konieczność umożliwienia dobrej zabawy i rozrywki starszej młodzieży. Irytujące są te dyskusje. Tak niewiele przynoszą. Są w Berlinie „Ballhausy”, w których za opłatą jednej czy dwóch marek młodzież może się wytańczyć co dzień, ile tylko zechce. Nas stać — ale na wytworne kawiarnie. O wiele za mało jest kin. Jeżeli jednak z funduszy ogólnych nie możemy przeznaczyć — według projektu planu pięcioletniego — na kina więcej niż 169 mln. złotych (z czego jedną trzecią zabierze Warszawa, w której widzą 2,5 raza mniejszą możliwość oglądania filmów niż przed wojną) co wystarczy nam tylko na wybudowanie kin z około 23 tys. miejsc — to czy nie byłoby rzeczą słuszną wyjście z inicjatywą lokalną? Kraków rozwiązał tradycyjny kłopot z resztą w tramwaju. Przeznaczony pięciogroszówki na swoje potrzeby kulturalne i pozbył się szeregu kłopotów. 50-groszowa dopłata

Takie stanowisko jest zrozumiałe. Czy jednak musi ono prowadzić do takiego hasła krytyki, jak e możemy obserwować? Nie bez winy była propaganda szafująca iatwymi optymizmem i utopizmami. W zaktępnicy z faktami powierwane zostało zażalenie. Wreszcie jednak niespełnienie niektórych zapowiedzi rozżoło generale zwątpienie. Niesłuszna była zaarzająca się tendencja do identyfikowania nieprawdowoci propagandy z nieprawdowoscią głoszoną przez nią też. Dziś skłonni jesteśmy do przetrucania się w drugą skrajność: było zupełnie dooorze, gdy mienimy byle jaki pokój — teraz jest zupełnie źie, że jest on taki i tylko jeden. Wyiania się problem oektywnej oceny: spostrzegania bieżących — ale i osiągnięć. Dla przykładu jeden z najbardziej młodszych, budzących największą krytykę, niestychanie istotny dla rodziny — problem mieszkaniowy. Argumenty typu ideologicznego o tym, że przyzwiął mieszkaniem nie jest zależny od kapitału itp. były niejednokrotnie używane i nadużywane. Pomówimy o faktach — one przemawiają do każdego. Istotnie przrost mieszkań nie nadzwał za przrystem ludności (jest on najwyższy w Europie), budowaliśmy ich za mało. Za mało to nie oznacza mało: w budownictwie mieszkaniowym jesteśmy powyżej przeciętnej w Europie (w 1954 r. 5,2 izby na 1.000 mieszkańców — w Polsce 6,4). Gęstość zaludnienia mieszkań jest wciąż wysoka (1,72 osoby na izbę), ale przeciętne niższe niż w latach trzydziestych (ca 2). Średnie cyfry nie świadczą, że wszystkim jest dobrze, dysproporcje na pewno istnieją. Trzeba jednak (pamiętajmy, że w wyniku wojny — to było tylko dziesięć lat temu — uległo zniszczeniu ok. 3 mln. izb) dostrzec to, co zostało dokonane i kierunek rozwoju. Okazuje się, że mimo zniszczeń wojennych całego kraju i konieczności generalnej odbudowy polepszyliśmy stan w porównaniu z sytuacją przedwojenną i budujemy więcej mieszkań niż w wielu innych krajach. Plan pięcioletni przewiduje zwiększenie tempa budownictwa mieszkaniowego. Czy w dostatecznym stopniu? — To jest problem do dyskusji. Tak przedstawiają się fakty. Z chwilą, gdy się ocenia sytuację z bliska, tylko przez pryzmat bieżącego dnia i bieżących osobistych kłopotów, gdy zapomina się o perspektywie koniecznej dla uzyskania obiektywnego obrazu i nie analizuje całości wniosków stają się jednostronne.

Nam tego spojrzenia z perspektywy niejednokrotnie brak. Jeśli zaś powątpiewanie i lekceważąca krytykę istotnych wartości słyszą dzieci — to uczą się one cynizmu i asekuranctwa. Rosną bezideowości i cynicy, z których najwięksi zasila szeregi chuliganów. Przystępstwa nieleńkich to nie kradzieże głodnych, w przezwajającej większości wypadków ci młodzi ludzie dobrze zarabiają. Ci, których nie notują kroniki milicji, brną w życie maskując się gładką skorupką ładnych ludzi — to jest zaś problem poważniejszy niż sprawa jaskrawego chuliganstwa, gdyż postawa takiej młodzieży nie rzuca się ostro w oczy, jest trudno uchwytana i może się

niepostrzeżenie rozwijać w szerszym zakresie. Oczywiście rodzice w swoich starych wychowaniu dzieci są ściśle związane z oddziaływaniami wszystkich czynników pozadomowych. Zdarzają się wypadki ważnego podważania autorytetu szkoły, organizacji i rodziców — sprzyjają one powstawaniu zakłamania młodzieży i kryzysu autorytetu. Przez długie lata stał również przed młodzieżą sztucznie wykopowany wzór wychowawczy realizowany nieraz w postaci klasycznej „długiej mowy”³⁾. Jak w kulturze schematycznie szafowano pojęciem formalizmu, tak i w wychowaniu przekreślono szereg metod wychowawczych zarzucając im konserwatywizm — exemplum harcersstwo — zapominając, że dziecko i jego psychika mają swoje prawa. Energia młodzieży musiała się wyładować. Wyładowywała się żywiłow i w ukryciu. W tej atmosferze rozdziewku teorii i praktyki młodzieź nie zdobywała przekonania do norm społecznych i obyczajowych. Pracujemy nad tym, by te błędy naprawić. Nie jest to łatwe i szybkie. Dałszy młodzieży wiele praw, prowokując nieraz postawę o---zowania na gotowe, uczylismy ją myśleć schematycznie — gdy teraz odrzucamy na bok slogany, powinniśmy odrzucić również typowo konsumpcyjne afisze werbujące do pracy tylko argumentem wysokich zarobków. Powinnismy skierować jej energię do realizacji takich zadań, które dałyby jej radość cennych sukcesów i zobowiązujące poczucie własnej wartości.

niepostrzeżenie rozwijać w szerszym zakresie. Oczywiście rodzice w swoich starych wychowaniu dzieci są ściśle związane z oddziaływaniami wszystkich czynników pozadomowych. Zdarzają się wypadki ważnego podważania autorytetu szkoły, organizacji i rodziców — sprzyjają one powstawaniu zakłamania młodzieży i kryzysu autorytetu. Przez długie lata stał również przed młodzieżą sztucznie wykopowany wzór wychowawczy realizowany nieraz w postaci klasycznej „długiej mowy”³⁾. Jak w kulturze schematycznie szafowano pojęciem formalizmu, tak i w wychowaniu przekreślono szereg metod wychowawczych zarzucając im konserwatywizm — exemplum harcersstwo — zapominając, że dziecko i jego psychika mają swoje prawa. Energia młodzieży musiała się wyładować. Wyładowywała się żywiłow i w ukryciu. W tej atmosferze rozdziewku teorii i praktyki młodzieź nie zdobywała przekonania do norm społecznych i obyczajowych. Pracujemy nad tym, by te błędy naprawić. Nie jest to łatwe i szybkie. Dałszy młodzieży wiele praw, prowokując nieraz postawę o---zowania na gotowe, uczylismy ją myśleć schematycznie — gdy teraz odrzucamy na bok slogany, powinniśmy odrzucić również typowo konsumpcyjne afisze werbujące do pracy tylko argumentem wysokich zarobków. Powinnismy skierować jej energię do realizacji takich zadań, które dałyby jej radość cennych sukcesów i zobowiązujące poczucie własnej wartości.

Zbigniew Laskowski

P. S. Napisałem te uwagi na podstawie obserwacji życia wielkiego miasta. Nie wiem nic np. o moralności na wsi — docierały do mnie tylko sygnały, że np. problem „chuligaństwa rodzinnego” jest tam również palący i wart zbadania. Nie mam — jak się to mówi — „dostatecznego rozeznania” w życiu miasteczek i wsi. Ale wydaje mi się, że to jest nie tylko mój błąd. Próbowałbym go uogólnić: w wyobrażeniu wsi o mieście często jeszcze rządził pojęcia sprzed wielu lat — a znów nasza centralna publicystyka zbyt często roztrząsa sprawy tego świata przez szkiełko środowiska i miasta, w którym mieszka autor. W szczególności — mieliśmy inne zadania — nie skupialiśmy swojej uwagi na życiu małych miast i poznaliśmy tylko jednostronnie życie wsi. Tę lukę trzeba wypełnić — i to zadanie nie tylko dla publicystów.

³⁾ Po tym wszystkim co pisało się o „długiej mowie” wydawało się, że naprawdę trudno już coś dodać. Tymczasem Szeleg wygrał nowe wspaniałe curiosum — wydawnictwo „Iskier”. „Gdy zwiniesz chustę”, z którego cytuję w „Szpilkach” takie np. kawałki: „Salutując wznosisz sprzecznię prawą dłoń nieco skośnie nad czołem. Pokazujesz w ten sposób, że te interesy, sprawę pokój i szczęścia ludzkości stawiasz wyżej od swej osobistej sprawy, własnego dobra... Chusty na piersiach harcerzy to jakby czerwone kwiaty na mogiłach bohaterów bojowników robotniczej sprawy” (— „i bąd tu wesoly gdy twój pierś to mogiła” — dodaje Szeleg) itp. To wszystko dla harcerzy czyli dzieci 10-letnich!

STANISŁAW GROCHOWIAK

Gdzie

Placicie młodzi, placicie starzy
Nad zbrodźmi tych karczmarzy...

JESTEM przekonany, że widziałem jeden z najciekawszych filmów w moim życiu. Nazwała się „Czerwona oberża”, reżyserował go Autant Lara, gra w nim niezrównany Fernandel. Jest to film uduchowiony (o triumfie moich przekonań), przenośny, poetycki — jest szekspirowski poprzez skalę ludzkich namiętności; zoroński, truogi i rozpacz. Ale jest chory...

Chory boleśnie chorobą epidemiczną w zachodnim świecie: niewiarą. Nie, nie czescie się; nie wylicze z mnie klerykał potrającający pochonią. Ja mówię o szerszej niewierze. Interesuje mnie pytanie „postawione w tytule tak śmiele”: GDZIE TKWI SZTYLET? Bo, że to religijne — to bezsprzeczne... Nie, mamy się o co kłócić. Ale czy tylko tam tkwi sztylet?

Chciałbym jeszcze wyznać, że pisząc chory nie uważam tego określenia za synonim niepotrzebnego, bezwartościowego, skazanego na anatemię. Był taki niewesoły u nas okres, kiedy w stosunku do chorej sztuki stosowaliśmy metody starożytnych w stosunku do kalek: zrzućmy z tarpejskiej skały. Na łeb, na szwie — i stąd np. nauki zajmujące się kulturą nazywałyśmy humanistycznymi. Ja inaczej (znaczy: już inaczej). Byłem na „Czerwonej oberży” dwa razy, dwa razy dalej się wciągnąłem wszystkimi uczuciami i całym sercem w straszne dzieje tej ponurej, filmowej baśni. I jeżeli tak zaciekle chcę się przed nią bronić, to tylko dlatego, jak wielka jest jej artystyczna siła, ile w niej słodkości, o jakże słodkiej, truciźnie.

— Popatrz, Jasiu, śliczna dziewczyna lepi balwan... Białe, białe śniegi i bardzo czarny murzyn...
Prawda, że piękne poetyckie zdanie? Ale jeżeli wiemy, że w tym balwanku został ukryty skostniały

trup... Ze dziewczyna jest współmorderczynią 102 Bogu ducha winnych podróżnych, a murzyn to okrutnik bez czci i serca...

Zaczynijmy jednak od początku, od na upiół groteskowej, a więcej nrozającej krew w żyłach ballady, którą świetnie śpiewa na tle nastających wilgoci, obszarpanych skał — głos Yves Montanda.

Nie zgadzam się z Bukowieckim, że jest to ballada ludowa. Nie zgadzam się dla jej zmięgo, wypracowanego okrucieństwa. Wydaje mi się także, że znajduję jakieś poparcie w literackich cechach tekstu i w katarynowej muzyce René Cloreca. Te apostrofy pełne jarmarcznej retoryki, ten komiczny lumpenproletariacki patos, który jest parodią prawdziwego, ludowego patosu, wreszcie ta beztroška i zupełna nieodpowiedzialność moralna — nie, to nie jest ballada ludowa. A zresztą czy to także ważne? Bardzo ważne. Bo jeżeli mamy tutaj do czynienia, jak zresztą sądzę, z pieśnią dziażdowską, to coś z dziażdowskiej filozofii musiało przeniknąć do uspaniałego, inteligentnego filmu opartego na jej kanwie. To jednak znaczy, że można się z filmem posprzeczać, bo nie stoi za nim argument ludowej mądrości, a jedynie mądrości dziażdowskiej — czasem bardzo przenikliwej, czasem bardzo głobokiej, ale czasem przewrotnej i złobiejkiej. Takiej, która ma ciuciuci za długie ręce.

Jest więc dwoje okrutnych karczmarzy, jest jakiś potworny Negr, i dziewczynka (à propos pogrąlowe Jasiovi żony!) imieniem Matylda. Te są demony zła. Demony na miarę więziennych ballad: jak już rznąć, to z dwóch sztuk! A siły dobra? Te są trzy: młoch Fernandela, mała młupka i dwóch żandarmerów. Reszta to mięso, żagglitliwy szmelc, o który łoczy się bitwa. O człowieka? Nie, o żagglitliwy, niezłoty na prawdziwy dramat szmelc. O owych trzech, nieruchomych,

¹⁾ Warto przypomnieć (mimo że nie daje one obrazu walopicya małżeństw prawnie istniejących) ogólne dane dotyczące rozwodów w Polsce. Rocznie zawiera się około 265 tysięcy małżeństw. W 1954 roku wniesiono do sądów 24.959 spraw rozwodowych i orzeczono rozwód w 12.582 wypadkach (w tym 12 proc. spraw małżeńskich zawartych w wieku 19 lat i młodszym). Przeciętnie spośród wniosków rozwodowych wniesionych do sądu co dziesiąty zostaje oddalony. Spośród jednostkowych wniosków rozwodowych sąd oddala połowę. Wśród małżeństw występujących zgodnie o rozwód trzecia część posiada dzieci. Według danych ONZ ilość rozwodów na tysiąc mieszkańców w 1952 roku wynosiła: Niemcy zach. 1,05, Francja 0,76, Anglia 0,77, Polska 0,49.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartał 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokolowska 48, tel. 8-60-11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakładu Drukarskiego i Wskładowe RSW. Prasa - W-wa Marszałkowska 35.
Nr. zam. 101
B-7-21769

NIKODEM WIELKI

KARIERA Nikodema Dyzmy** zrobiła z punktu zawrotną karierę. Publiczność przyjęła tę książkę z entuzjazmem, krytyka — z żywym zainteresowaniem. Powieść Mostowicza zestawiano jako wielki pamflet polityczny z „Czarnymi skrzydłami” Kadena, barda sanacji, upatrując w Mostowiczu przyszłego rapsoda endeckiej opozycji. Okazało się jednak, że Mostowicz z zaproszenia do panteonu Wielkiej Literatury nie skorzystał i wybrał sobie zawód dostawcy popularnej beletrystyki, przystosowanej do niezbyt wybrednych gustów przeciętnego czytelnika enoekich dziesięciostronów i sanacyjnych „czerwoniaków”. Jedyną jego książką, która coś znaczy w ogólnym dorobku naszego piśmiennictwa, pozostała na zawsze tylko ta jedna powieść.

Powieść, która dużo zawdzięcza temu, że trafia na odpowiedni dla siebie moment, na moment ostatecznej moralnej klęski reżimu sanacyjnego, skompromitowanego Brzeźniem, „cudami nad urną” i kompletną bezradnością wobec coraz bardziej pogłębiającego się kryzysu ekonomicznego. Książka Mostowicza wchodziła w sytuację psychologiczną dojrzającą w pełni na jej najserdeczniejsze przyjęcie. „Kariery Nikodema Dyzmy” przeceniono właśnie dlatego, że widziano w niej wyłącznie satyrę sanacyjną. Traktowano ją nawet jako „powieść z kluczem” i starano się odszukiwać wśród sanacyjnych matadorów modele poszczególnej figur powieściowych. Inni znów skłonni byli rozszyfrowywać przedstawione w powieści wypadki jako aluzje do rzeczywistych zdarzeń z paru ostatnich lat. Byli również interpretatorzy dopatrujący się w Dyzmie samego Piłsudskiego. Ten zaś interpretacyjny, jaki ogarnął czytającą publiczność (bo w tego rodzaju egzegezy nie wdawała się krytyka literacka), dowodził, że książka swój doradny cel osiągnęła, że okazała się pamfletem politycznym niesłychanie trafnym i aktualnym. Stała się ona pewnego rodzaju świętością narodową, której nie ośmieliła się zaatakować otwarcie nawet krytyka reżimowa, z głupia frant usiłująca przywłaszczyć sobie tę arcyopozycyjną powieść przy pomocy uroczego idiotycznej tezy, że Mostowicz ośmiesza w swej książce „przedmową „sejmokrację”. Ten naiwniutki cynizm sanatorów świadczy o ich zupełnej bezradności intelektualnej i ich nieczystym sumieniu. Bani się otwarte polemiki z tą tak złośliwie kompromitującą reżim książką, woli więc udac, że nic z tej całej historii nie rozumieją, a Mostowicza unieszkodliwili wciągając go do współpracy z „czerwoną” prasą. Współpraca ta zapewniła pisarzowi maksymalną prywatną prosperytę, ale wywołowała doszczętnie jego talent. Pisał później po dwie powieści na rok, coraz słabsze, coraz obficiej szpikowane elementami sentymentalno-sensacyjnej bzdury.

„Kariery Nikodema Dyzmy” przeżyła okres historyczny, który ją wy-

dał. Dziś odbiera się tę powieść nieco inaczej niż w latach trzydziestych. Sprawa istnienia czy nieistnienia sztyru umożliwiającego prawidłowe odczytanie rozmaitych rozsypanych po utworze aluzji do osób i wydarzeń stała się dla nas całkowiec obojętna. Tęgo rodzaju czysto dziennikarskie aktualności zawsze wietrzeją najszybciej, a zresztą nawet nie wiadomo, ile rzekomych aluzji wczytali w utworze opozycyjnie nastroszeni czytelnicy, wyzywając przy jego lekturze cały zasób swej antysanacyjnej pasji. Ta pasja zwręła perspektywę spojrzenia na dzieło, każąc wyszukiwać w nim przede wszystkim to, co było satyrą, pamfletem, złośliwą aluzją, zakamuflowanym doświadczeniem od *personam*. W oczach rozentuzjuszowanych czytelników książka Mostowicza była wielkim, niemal genialnym arcyfetonem satyrycznym, literackim zamachem stanu na moralny (mocno już zrestaurowany w tym okresie nadwątlony) autorytet piłsudczyzny. Ten sam punkt widzenia reprezentuje również w swoim przedmowie do nowego wydania powieści Zbigniew Mitzner. Cytuje on wprawdzie wypowiedzi Czechowskiego i Ryszarda Matuzewskiego na temat „Kariery Nikodema Dyzmy”, ale tylko jakby dla honoru domu, nie próbując potraktować głębiej tej osobliwej książki i wykazać, że jest ona czymś więcej niż tylko albumem literackich karykatur ośmieszających ludzi i stosunki minionej epoki.

TALENT Mostowicza nie posiadał poważniejszej podbudowy intelektualnej. Autor „Kariery” zaczął od dziennikarstwa, trudno zaś o gorszą szkołę pisarstwa i gorszą szkołę myślenia. Pamiętamy, że było to przecież dziennikarstwo reprezentujące mentalność „ginącego świata” burżuazji, obliczone na schlebienie gustom czytelników, uważające za główną metodę swego działania epatowanie odbiorcy sensacją, a za główny cel — maksymalne podniesienie nakładu pisma. Na utworze Mostowicza znać wyraźnie oddziaływanie specyficznej poetyki pisarstwa spod znaku gazetowego odcinka. Poetyka ta wymaga od twórcy literackiego spełnienia trzech zasadniczych warunków: powinien on być jak najbardziej interesujący, „żywcioły” i musi w nim być „dużo o miłości”. Konwencja odcinkowego romanu zaciężyła fatalnie na powieści Mostowicza. Zasadniczy wątek książki, bardzo osobliwy i pomysłowo zadzierny w wątek koepecki***) opleciony został wątkami romansowymi, które odwracają naszą uwagę od sprawy centralnej ku kwestiom będącym jedynie „gruntowaniem” tia obyczajowo-społecznego.

Tracąc na tym zresztą i te właśnie wątki, które sam charakter utworu skazuje na drugorzędny w jego całościowym układzie rolę, choć pomyślane są one i przeprowadzone bardzo interesująco. Przyjął się u nas pisać o miłości albo w tonie irytująco podniosłym (miłość jako „krzyk nagiej duszy”, miłość

jako piękny a zwodzicielski szatan, lub wręcz miłość jako świetlany anioł wiodący ludzkie dusze na niebawem Monsalwaty doskonałości), albo też w tonie mniej czy więcej zatrącającej o pornografii tłustej facecji, choć czasem — u pisarzy, jakby powiedział Włoch, „posiadających salonowe alibi” — opowiedzianej tak *comme il faut*, że i panie mogą się przysiliwać bez żenady. Słowem: ultrapoetyckie legendy lub pieprzne anegdoki. Poza tym może być już tylko albo naiwny, cięły sentymentalizm („Ekloty dwukopytne chrząkające w sardzie” — jak powiada Rimbaud), albo „służba boża” a la Marynia Potaniecka. Wielką w naszej literaturze rzadkością jest stosunek do miłości poznawczy, analityczny, wolny zarówno od rozpoetyzowanego mitotwórstwa jak i od płaśko „życiowego” cynizmu. To widzenie miłości jako skomplikowanego zagadnienia, a raczej nawet całego spłotu zagadnień, znajdujemy w „Pałubie” Irzykowskiej, w powieściach Nalkowskiej i S. I. Witkiewicza. Wszyscy oni jednak traktują swoją fenomenologię miłości jako gromadzenie materiałów i danych szczegółowych do jakiejś, choćby bardzo prowizorycznej, ogólnej teorii miłości. Mostowicz jest w tym względzie potrafiący głębiej tej osobliwej książki i wykazać, że jest ona czymś więcej niż tylko albumem literackich karykatur ośmieszających ludzi i stosunki minionej epoki.

TEN obraz jednak, choć tak interesujący nakreślony, ukazuje bardzo jasno i wyraźnie granice wiedzy społecznej pisarza, odsłania słabość jego stanowiska wobec centralnych zagadnień epoki. Mostowicz osądza surowo swoich współczesnych za ich niemoralność, lecz nie sięga głębiej, nie szuka historycznych i socjologicznych determinant, pod których oddziaływaniem życie ówczesne — zał się Boże — elity straciło sens i ład wewnętrzny, rozprężyło się, zakąsało łutym hedonizmem, egoizmem, dojruckostwem, a przede wszystkim gnębiącym poczuciem zwątpienia w siebie, trwogi i niepewności. Poczucie to najistotniejszym przeobrażeniem członków owej elity, najsilniejszą religią ich serca czyni tęsknotę za cudzą, lecz przecież im potrzebną i dla nich działającą siłą: „Potrzeba ludzi silnych”. Kompromitując tych spragnionych siły i wyidealizowanych przez nich Dyzmocarza sugeruje mostowicz, że winą za istniejący stan rzeczy spada wyłącznie na osobistą niegodziwość ludzi będących w tej chwili u steru i że gdyby na ich miejsce przyszedł inni, wyznający dewizę: „Potrzeba ludzi prawych”, to Polska przemieniłaby się z miejsca w baśńowe Eldorado. Iluzoryczność tego programu jest oczywista: przeżyte i walące się w gruzy wsokocnych przeobrażeń społeczno-ekonomicznych ustrojowi nie pomoże czyjaś prywatna zacność. Będzie ona po prostu w tym wypadku kapitałem jak najbardziej złe ulokowane, talentem zakopanym bez pożytku w ziemi.

Niedostrzeżenie sensu historycz-

nych przeobrażeń, z perspektywy których żyjącym anachronizmem była zarówno rządząca sanacja jak i wojująca z nią o „rząd dusz” endecja, słyca powieść i rozbiła jej strukturę znaczeniową w sposób zasadniczy. Dyzma robi karierę przez przypadek i rozmaite szczegółowe okoliczności utrzymują go na powierzchni. Raz tylko zjawia się w powieści siła działająca planowo, celowo i skutecznie. Jest nią tajemniczy Zakon Trzypromienny (komisarz Jaskólski i nadkomisarz Reich), o roli, jaką odgrywają tego rodzaju zagadkowe organizacje co Zakon Trzypromienny Gwiazdy, o polityce opozycjonistów atakujących Dyzmę, póki był prezesem Banku Rolnego, lecz robiących z niego coś w rodzaju bohatera narodowego po dymisji z zajmowanego stanowiska — komponuje się razem w obraz bardzo logiczny i na pewien sposób harmonijny, ale nie wzbudający uczuć nazbyt miłych i serdecznych.

TEN obraz jednak, choć tak interesujący nakreślony, ukazuje bardzo jasno i wyraźnie granice wiedzy społecznej pisarza, odsłania słabość jego stanowiska wobec centralnych zagadnień epoki. Mostowicz osądza surowo swoich współczesnych za ich niemoralność, lecz nie sięga głębiej, nie szuka historycznych i socjologicznych determinant, pod których oddziaływaniem życie ówczesne — zał się Boże — elity straciło sens i ład wewnętrzny, rozprężyło się, zakąsało łutym hedonizmem, egoizmem, dojruckostwem, a przede wszystkim gnębiącym poczuciem zwątpienia w siebie, trwogi i niepewności. Poczucie to najistotniejszym przeobrażeniem członków owej elity, najsilniejszą religią ich serca czyni tęsknotę za cudzą, lecz przecież im potrzebną i dla nich działającą siłą: „Potrzeba ludzi silnych”. Kompromitując tych spragnionych siły i wyidealizowanych przez nich Dyzmocarza sugeruje mostowicz, że winą za istniejący stan rzeczy spada wyłącznie na osobistą niegodziwość ludzi będących w tej chwili u steru i że gdyby na ich miejsce przyszedł inni, wyznający dewizę: „Potrzeba ludzi prawych”, to Polska przemieniłaby się z miejsca w baśńowe Eldorado. Iluzoryczność tego programu jest oczywista: przeżyte i walące się w gruzy wsokocnych przeobrażeń społeczno-ekonomicznych ustrojowi nie pomoże czyjaś prywatna zacność. Będzie ona po prostu w tym wypadku kapitałem jak najbardziej złe ulokowane, talentem zakopanym bez pożytku w ziemi.

Niedostrzeżenie sensu historycz-

nych przeobrażeń, z perspektywy których żyjącym anachronizmem była zarówno rządząca sanacja jak i wojująca z nią o „rząd dusz” endecja, słyca powieść i rozbiła jej strukturę znaczeniową w sposób zasadniczy. Dyzma robi karierę przez przypadek i rozmaite szczegółowe okoliczności utrzymują go na powierzchni. Raz tylko zjawia się w powieści siła działająca planowo, celowo i skutecznie. Jest nią tajemniczy Zakon Trzypromienny (komisarz Jaskólski i nadkomisarz Reich), o roli, jaką odgrywają tego rodzaju zagadkowe organizacje co Zakon Trzypromienny Gwiazdy, o polityce opozycjonistów atakujących Dyzmę, póki był prezesem Banku Rolnego, lecz robiących z niego coś w rodzaju bohatera narodowego po dymisji z zajmowanego stanowiska — komponuje się razem w obraz bardzo logiczny i na pewien sposób harmonijny, ale nie wzbudający uczuć nazbyt miłych i serdecznych.

Mostowicz obserwuje bardzo dokładnie i starannie fasadę polskiej rzeczywistości, nie potrafi jednak uchwycić i określić przyczyn powodujących rozpadanie się fundamentów gmachu. Ludzi się, że zastąpienie jednej partii burżuazyjnej przez inną mogłoby jeszcze zapobiec katastrofie. Dlatego też dyzmowa koepeckiada jest dla niego wyłącznie okazją do ośmieszenia reżimu. A przecież jego powieść mówi wyraźnie o tym, że reżymem tej tragifarsy, w której główną rolę wypadło odegrać polskiemu kapitanowi z Koepecki, Nikodemowi Dyzmie, był nie ten prowodemonalny urzędniczy, lecz rzeczywista potrzeba sanacyjnej elity, stęsknionej za mężem opatrnościowym, za cudotwórcą, który zdołałby według własnego widzimisie kierować biegiem historii. Dyzma stał się głównym aktorem owej tragifarsy przez przypadek (tak jak wiaściwie zupełnie przypadkowym elementem w hitlerystyce był sam Hitler), a na jego miejscu mógł znaleźć się również dobrze choćby Kunicki lub Krzepicki. Morał i społeczny sens tragifarsy nie by na tym nie ucierpiał.

Dlatego też jako powieść polityczna, powieść historyczna jest „Kariery Nikodema Dyzmy” ruiną niespełnionych zamierzeń autorskich. Brak jej dogłębnej analizy socjologicznej, która wykazałaby jawienie się Dyzmy jako obiektywnej konieczności z punktu potrzeb istniejącej sytuacji; brak również ukazania owego mechanizmu aktualnie działających się okoliczności, które czyniły Dyzmę kimś niezastąpionym i nieodzownym dla sanacyjnej oligarchii. W książce Mostowicza tkwi zmarnowana możliwość

wielkiego powieściowego przekrofu epoki na miarę „Stronnych złudzeń” Balzaca. Autor nie umiał z pozycji moralisty przejść na bardziej zasadnicze i podstawowe przycię socjologa, w rezultacie stworzył więc niewątpliwie świetny, ale jednak tylko upowieściowiony przyczynek do saracyjnej chronice scanda-leuse.

POWIEŚCIOWA plótkę Mostowicza o sanacji ratuje jako dzieło sztuki kapitalnie skreślona sywetka samego Dyzmy. Stanisław Piasecki, ciesząc się z kuksańca, jakim była ta książka dla obco regionowego, napisał, że „Dyzma ma wszystkie dane, aby stać się tym, jako potoczne pojęcie typu, czym stał się ongiś — w innym oczywiście znaczeniu — Podlipiński Weyssenhoffa”. Zdanie to zacytował Czacowski, a za Czacowskim również Mitzner, który jeszcze postawił kropkę nad „i” łącząc nierozdzielnie „dyzmizm” z „sanacją”. Goździ się z tym, że Dyzma zajmie w naszej literaturze poworne miejsce właśnie jako „potoczne pojęcie typu”, ale wydaje mi się, że typowość Piasecki i Mitzner pojęli zbyt ciasno. Dyzma jest dla nich typowy jako figura reprezentacyjnego senatora, chama, kretyna i karierowicza. Termin „typ” rozumieją, oni jako identyczny z określeniem „charakterystyczna postać” umieszczając tym samym Dyzmę w galerii typów literackich pojmawanych jako szczególnie reprezentacyjne okazy stylu życiowego pewnej warstwy społecznej (Zagłoba), pewnego środowiska zawodowego (Colas Breugnot), pewnego pokolenia (Rzecki z „Lalki”), pewnej szczególnie godnej uwagi formacji psychicznej (Król Ubu z dramatu Jarryego). Typowość rozumianą jako reprezentacyjność nie należy mieszać z typowością rozumianą jako socjologiczne czy psychologiczne uogólnienie, jako wielka metafora, budowana nie w drodze sumowania i potęgowania cech gromadzonych przez obserwację poszczególnych egzemplarzy danej osnianej gatunku homo sapiens, lecz oparta na wypracowanej przez autora całościowej koncepcji idealnego, wzorcowego modelu psychiki odpowiadającej pewnym określonym sytuacjom społecznym, historycznym, pewnemu układowi determinant sytuacji. Reprezentantami tej drugiej typowości będą np. hr. Henryk i Pankrzy z „Nieboskiej”, czy takie postacie Ibsena jak Peer Gynt albo Brand. Zdarzają się jednak artyści, którym udaje się zsyntetyzować oba te rodzaje typowości. U tych artystów zawyżają owe uogólniające nadbudowy, „drugie dno” stworzone przez pisarza typu powstaje jakby spontanicznie. Postacie Balzaca, Dostojewskiego, Conrada bywają typowe zarówno w pierwszym jak i drugim znaczeniu, przy czym w budowaniu owej drugiej, głębszej ich warstwy nie dostrzegamy cech świadomego zamierzenia autorskiego, jakie są wyraźnie uchwytne w utworach Krasńskiego czy Ibsena.

Dlatego też są dzieje, o tym nie pora teoretyzować w niniejszym, i tak już dosyć długim szkicu. Poprzestaniemy na zanotowaniu tego faktu, szczegółowe jego roztrząsanie odkładając do sposobniejszej pory, i wracamy do naszego Dyzmy. Otóż Dyzma jest typem w owym właśnie „syntetycznym” balzackim rozumieniu tego terminu. Jest on reprezentantem dorabiającego się chamstwa i karierowiczostwa z doby sanacyjnej, ale jest także czymś więcej: jest syntetycznym portretem drobno-mieszczanina robiącego karierę w walącym się gmachu kapitalizmu. Nie zapominalmy, że i cała sanacja była ostatecznie takim Dyzmą, któremu się udało: przeciw faszyzowski pucz z maja 1926 roku był zabiegami prewencyjnym, uprzedzającym... faszyzowski pucz przygotowywany przez „chienio-piastą” (tą nazwą określał rządzący podówczas blok prawicy i prawego centrum). Mogłoby się więc i tak zdziwić, gdyby prezydent Wojciechowski i Witos byli bardziej energiczni i przewidujący, że to oni właśnie rozsiadli się na dobre w Zamku i Belwederze, a jakis legionowy Mostowicz obsmarowywałby na lamach opozycyjnej „Gazety Polskiej” czy „Kuriera Porannego” endeckochadecko-piastowski Dyzmów. Bo Dyzma, Dyzma jako typ, zajmuje centralne miejsce w rzeczywistości faszyzującego się kapitalizmu: Dyzma — drobno-mieszczanina Bestia Triumphans. Jest on zwierciadłem, które podstawić można nie tylko sanacyjnym dygnitarzom w rodzaju wspomnianego przez Mitznera Romana Knolla, ale nawet takim geniuszom walczącego mieszczaństwa jak włoski grafoman, który wkrzeszał imperium rozymskie, jak monachijski malarz pokojowy, który tworzył tysiącletnią Rzeszę, czy jak robiący obecnie zawrotną karierę polityczną wódz rozwścieczonych i wystraszonych sklepikarzy francuskich — pan Poujade.

Taka to wielka figura ten nasz Nikodem Dyzma. I dlatego — mimo wszystkiego, co napisał później — ma prawo do trwałego miejsca w naszej literaturze twórcy tej figury, Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

*) Tadeusz Dołęga-Mostowicz: Kariery Nikodema Dyzmy. „Czytelnik”. Warszawa 1955. Wstęp Zbigniewa Mitznera. Str. 398 i 4 mb.

**) Koepeckiada — termin ten, który upowszechnił się szczególnie w latach trzydziestych dzięki sztuce niemieckiego ekspresjonisty Karola Zuckmayera „Kapitan z Koepecki”, może już być dla dzisiejszego czytelnika niezrozumiałym. Tematem do tej sztuki dostrzeżona syntetyczna historia szewca Wilhelma Voiga z Koepecki, który przybrał się w mundur kapitana aresztował burmistrza Koepecki.

tkwi sztylet?

którzy w mentalności lumpenproletariatu są jedynie niezbędni, by mogli zaistnieć pasjonujący konflikt zrywający: mordercy i policjanci.

W konflikcie „Czerwonej oberzy” najbardziej wyeksponowany ze „sprawiedliwych” jest mnich — on przeżywa najgłębszy dramat. Dramat tak wielki, że zdaje się przystąpić resztę — że pozornie, a może w intencjach autorów, urasta do naczelnego, a nawet wyłącznego problemu:

„Kto cnotliwy, ten szczęśliwy, temu Pan Bóg łaskaw będzie” i zaraz obok: rymś do przepaści!

Problem Opatrzności Boskiej — problem religii w ogóle.

Biedny mnich Fernandel, mimo całej dobrej woli, mimo nadludzkiej wysiłków w kierunku urealizowania zamykającej mu usta reguły, strasznie, smrotnie przegrzyna. Nie ma Boga dla morderców, ale nie ma Boga dla mordowanych. Wszystko na próżno, mnichu Fernandelu. To tylko małpka grobiła swoje.

Małpka zdaje się przez cały czas współzawodniczyć z Fernandelem. Ona również jest siłą sprawiedliwości — choć bezrozumna, choć beznieśmiertelnej duszy, choć bez obowiązującego ją przykazania miłości. Nie przeżywa okropnej, podobnej do majaczeń sennych nocy rachunku sumienia i śmiesznych gestów. Małpka czuje tylko swoim zwierzęcym rozumkiem, że wyrządzone jej i jej panu jakas krzywda. Ze trzeba najpierw uciekać, a potem wrócić się zwycięzcy i zabić złych. Wrogich. To wszystko. Ale to „wszystko” wystarczy, by zmierzyć się z zawiązanym, metafizycznym światem Fernandela i ukazać jego niższość. Skomplikowana moralność religijna nie wytrzymuje nawet konkurencji z prymitywnymi, ale zdrowymi instynktami zwierzęcia. Jest to chyba jedno z nacięszych oskarżeń, jakie padły pod adresem

religii. Oskartwienie, aż tak okrutne i brutalne w swej zaciekłości, że gdyby nie cienka, inteligentna tkanka aluzji, za pomocą której zostało podsunięcie — zakrawałoby na demagogię. Więc chyba tutaj, więc chyba w plecach mnicha Fernandela utkwił sztylet... Chyba tak...

Ale jest most. Pamiętacie ten mostek nad przepaścią, który zaraz na wstępie staje się zdradziecką pułapką dla wędrującego zakonnika? Występuje trzy razy w filmie — tyle razy, ile jest sił dobra. I przez ten most przechodzi Fernandel, i przez ten mostek przejeżdżają zandarmi — zandarmi też. I potem Fernandel poleca podróznym tę skróconą drogę nad przepaścią — i most się wali. Wychodzi się, że pękająca kładka nad przepaścią to ostateczny cios w mnicha, to walący się jego światopogląd. Filozofia dzia-dowska ma jednak dwie ręce — nie wystarczy jej zamach na religie, Boga i Niebo.

Fernandel umożliwił ostateczny triumf zbrodni, wprzeżając chępli-wość, acz nieświadomie morderców, że dylitans, pojedzie nad przepaścią — to jego wina. Nie mógł jednak zapobiec zbrodni, bo nie mógł o niej wiedzieć. Ale zandarmi... Tak, dzia-dowska filozofia jest bardzo zachłanna. Zandarmi mogli zapobiec. Przejeżdżali przez most, kiedy Fetusz podcinał jego konstrukcję — przemiłowy dźwięk pity zastanowił zandarmów.

— Słyszysz, druciale... — Sa co najmniej sto metrów od nas, lecz przy takim mrozie słuchac dźwięk nily, jakby byli tu — obok... I już bez głębszego zastanowienia ruszają dalej, do oberzy, by zaraz po przekroczeniu jej progu poprosić o kubeczek arzanego wina.

Gdyby zechcieli im się zejść z konia i przeoentrować okolice! Gdyby choć trochę pomysłeli, że pilla... ze kruchu mostek nad przepaścią... że to chyba coś znaczy... Oj, zandarmi, zandarmi! Niedobrze! To

małpka tylko robi swoje. Małpka zakleła w taroku. Małpka, której karta sąsiaduje z użerunkiem śmierci. A wy, zandarmi! Tak jak Fernandel, dopełniacie jedynie formalności — i razem z Fernandelem ponosicie miazdzącą klęskę. Nie ma Boga dla mordujących, a nie ma go dla mordowanych. Nie ma ludzkiej pomocy dla mordowanych. Nie ma środków, by zapobiec zbrodni. Bo gdzie tkwi sztylet? Czy tylko w plecach zakonnika? Sztylet tkwi we wszelkiej nadziei — we wszelkiej ludzkiej nadziei — i to jest niedobra dzia-dowska filozofia.

Dyskutowałem na temat „Czerwonej oberzy” z kilkoma osobami. Ktoś na twierdzenie, że jest to film antyreligijny, zaoponował mówiąc, iż panuje w nim atmosfera niesamowitości tak skondensowana, jak tylko w satanicznych fragmentach powieści Bernanosa — że jakkolwiek nie ma w filmie Boga, to wyraźnie odczuwa się obecność szatana.

Uważam, że taki sąd wynika z niezrozumienia konwencji artystycznej dzieła Autant Lara — że polemista zaobulł sennocizny „realizm” dzia-dowski nieśmiertelności. Ale u nas również, że urok tego „realizmu” czy „romantyzmu” podzielał tak sugestywnie na twórców filmu, iż nie potrafili się uchronić przed penetracją przewrotnej prawdy zawartej w takich balladach. Prawdy o hipnotycznej, nieomal mistycznej potędze świata zła, o tym, że świat ten zgubić się może jedynie siłami nieznanymi wyroków, a nie przez ludzkie, świadome działania. Ze człowiek wobec zbrodni stoi bezsilny jak w koszmarnym śnie, gdy szamoce się od drzew do drzew i one są zamknięte, zamknięte, zamknięte... i tylko dobiega zgrzytliwy dźwięk ostrzonych na osiele noży.

Strrrrrrasze... Placze młodzi, placze starzy Nad zbrodniami tych karcerarzy...



Sceny z filmu „Czerwona oberza”



MIĘDZY MIŁOŚCIĄ A ODRAZĄ

1

PODCZAS gdy Lew Tołstoj w krajach zachodnich budził wóbec swęj twórczości postawę podziwu, przywodząc na myśl ni-tzscheańskie pojęcie postawy apoli-nińskiej, to oddziaływanie Teo-dora Dostojewskiego nas wa ana-logię z oszłolomieniem dionizyj-skim. Oszłolomienie to, przy ciąg-łych zresztą oscylacjach, utrzymało się do dzisiejszego dnia, a nawet wykazuje tendencję zwyczajową.

Tołstoj wniósł do literatury zachodnio-europejskiej bszprzeczące nowe elementy, ale dany się do su-nunkowo łatwo zasymilował i dla przeciętne go, wykształconego Euro-pejczyka „Wojna i pokój” lub „An-na Karenina” są równie dzisiaj bli-skie i niezbędne jak „Pustelnia Par-meńska”, „Ojciec Goriot”, „Madame Bovary”, „Vanity Fair” czy „Czar-rodzińska Góra”. Natomiast Dosto-jewski okazał się szczeniakiem, któ-ra zbulwersowała na Zachodzie umy-sły, a bardziej jeszcze serca i duszę, wprowadzając do nich pier-wiastki zgoła odmienne, trudno przyswajalne. Tołstoj wystarczyło podziwiać, Dostojewskiego trzeba było przeżywać — wśród zmagają z sobą samym, wśród oddalenia i po-wrotów do pisarza, z odrazą i mi-łością, ze zgrozą i ekstazą. Takim niezapomnianym przeżyciem było Dostojewski dla Oskara Wilde'a, Gerarda Hauptmanna, Ste-fana Zweiga, Marcela Prousta, Sherwooda Andersona, Walda Fran-ka, Lawrence'a, Knuta Hamsuna, Hermanna Hessego i dla wielu, wie-lu innych pisarzy.

Wielkość Tołstoją zdaje się mieć w kategoriach estetyczno-mo-ralnych, wielkość Dostojewskiego — w psychologiczno-religijnych. To tłumaczyłoby w dużym stopniu głę-bię i dynamikę oddziaływania Do-stojewskiego na świat zachodni, zwyciężył, iż świat ten zachowując związek z tradycją chrześcijańską zmagają jednak ze zjawiskiem uwagą religijności i to co najmniej od czasu, gdy Renan przyrównał chrześcijaństwo do flakonu, z któ-rego w wietrzak pierum. Dalece się też zauważyć nieustannie wzma-gające się zainteresowanie twórczo-ścią Dostojewskiego w krajach za-chodnich kupia się szczególnie na jej problematyce psychologicznej i religijnej. I dużą wymowę posiada fakt, że Dostojewski oddziałal w sposób niezwykle silny na tak wy-bitnych pisarzy katolickich Zachodu, jak Bernanos, Mauriac, Jouhan-deau, Julien Green, Graham Greene, Gertruda von Le Fort. Podkreślić należy również i to, że Dostojewski dostarczył podynych bodźców współ-czesnej katolickiej i protestanckiej literaturze teologicznej.

Oczywiście, stwierdzając, iż wielkość Dostojewskiego mieści się w kategoriach psychologiczno-religij-nych, nie należy wyrwać Dosto-jewskiego-psychologa i Dostojew-skiego-teologa z jego dzieła literackiego. Pamiętać bowiem trzeba, że Dostojewski był przede wszyst-kiem artystą, a dopiero potem psy-chologiem i teologiem, bądź też, że problematyce psychologicznej i religij-ną przeżywa on jako pisarz, prze-żywa w ramach swego fikcyjnego kosmosu. Stąd magię i sugestyjność jego koncepcji i odkryć tamtych dziedzin, stąd jednak zarazem relatywność i algebriana wielo-znaczność owych koncepcji i odkryć, domagających się odrębnego trakto-wania i analizy dzieła teologów czy tezy Freuda.

2

WTAKI też mniej więcej spo-sób ujmował Dostojewskiego André Gide w „Kulku prelekcji wy-głoszonych w Paryżu w r. 1922 w stulecie urodzin pisarza. Zebrane wraz z innymi studiami poświę-conymi temu samemu autorowi, ukazały się w wydaniu książkowym w r. 1923 (u Ploca) a w r. 1928 w reedycji poprzędną przedmową R. Lalou — stanowić prawdziwe wydarzenie w literaturze o Dosto-jewskim.

Gide, podkreślając odrębność autora „Zbrodni i kary” w stosunku do literatury zachodnich, upatruje ją w tym, że powieść zachodnio-europejska zasadniczo zajmuje się tylko stosunkami międzyludzkimi, stosunkami uczuciowymi i umysło-wymi, związkami rodzinnymi, społecz-nymi itp., natomiast przez wyjątko-wo interesuje się stosunkiem jedno-kości do siebie samej lub do Boga, a ta właśnie dziedzina dzierży u Dostojewskiego prym nad wszystki-mi pozostałymi. „W tym mieści się sekret Dostojewskiego” — pisze Gide — to go czyni dla niektórych z nas tak wielkim, tak doniosłym, a dla wielu innych tak odrażającym.”

Wprawdzie literatura zachodnia mówi nie tylko o człowieku w „spo-łecznym kostiumie”, jak tego do-wodzą „Myśli” Pascala lub „Kwiaty zła” Baudelaire'a, lecz problemy duchowe, niepokojące, pasje i stosun-ki z tego wymiaru raczej zastrze-żone są dla moralisty, teologa i liry-ka. Tymczasem „cud urzeczywist-niony przez Dostojewskiego polega na tym, że każda z jego postaci, a stworzył ich cały tłum, istnieje przede wszystkim w funkcji indy-widualnej, każda z tych głębokich istot przedstawia się nam w całej swej problematycznej złożoności

wraz ze swym sekretem”. I sukces ten polega zarazem na tym, że właśnie problemy te żyją w każdej z jego postaci, problemy, które się ściągają i humanizują, by doznawać kłęk lub zwyciężać. Lecz jeśli nie istnieje tak subtelna i odczuwana kwestia, z którą by nie zdołała upo-rać się powieść Dostojewskiego, to jednak należy pamiętać, że nie umi-je on ich nigdy w sposób abstrakcyjny, że idee istnieją dla niego zawsze w swej funkcji dla jedno-kości ludzkiej. Nacąje im to usta-wiczną względność, ale też zarazem stanowi ich siłę. Innymi słowy: „powieści Dostojewskiego, będąc po-wieściami najbardziej obciążonymi zawartością intelektualną, nigdy nie są jednak abstrakcyjne, lecz pozostają książkami, jak najbardziej wi-brującymi życiem”.

3

NIE mam zamiaru streszczać stu-diów André Gide'a nad Dosto-jewskim. Pragnę tu jedynie przed-stawić to, co mi się wydaje w nich najistotniejsze i co zarazem wiąże się z rdzeniem twórczości Dostojew-skiego. Idzie mianowicie o sposób, w jaki oświetla i analizuje proble-matykę religijności chrześcijańskiej w dziełach Dostojewskiego. Fakt, że właśnie André Gide szczególnie uwagę poświęcił tym zagadnieniom, nie może dziwić, skoro pisarz ten mimo swej cłgłej oscylacji i wahań religijnych, które go w końcu przywiodły do ateizmu, wykazywał zawsze żywe zainteresowanie proble-matyką życia religijnego i długie lata pozostawał w bliskich stosun-kach z takimi pisarzami, jak Jakub Rrière, Charles Du Bos, Julien Green i Paweł Claudel (ten ostatni uczynił nawet z autora „Falszery” przedmiot „alibiwo apostołatu, by doznać ostatecznego gorzkiego roz-czarowania”).

Rozmówcy pomiędzy beztrojski, radosny poganizm a wieczny nie-pokój sumienia chrześcijańskiego, André Gide odznaczał się niezwykle wyostżonym zmysłem w odniesie-niu do zjawisk duchowych, metafizycznych, niepospolita w tym za-kręsie intelektualna i przenikliwość. Dzięki temu i eses poświęcone Do-stojewskiemu uderzała celnością wielu sformułowań i bogactw mro-strzeżeń, a jeśli w niektórych zni-żalał do sprzeciwu lub zastrze-żeń — zresztą Gide bronił ich nie rocił sobie pretensji do jakiejś de-finitywnej oceny twórczości Dosto-jewskiego do jego całkowitego roz-szyfrowania” będąc w krytyce zwol-nieniem otwarcia perspektyw a nie ich zamknięcia — to zawsze działał przeważając na myśl, zawi-sze ujmując niewyszukaną oryginal-nością.

Przypomniawszy Nietzschego — twórcę, który przemożnie (choć przeważnie fatalnie) zaczął na umysłowości zachodnio-europejskiej w dobie współczesnej, głównie swym ujęciem chrześcijaństwa — i zafascynowany z nim Dostojewski Gide stwierdza, że obydwu pisarzy dzieli prześcać: Niezłose żył za-dniósł i nieruch do Chrystusa i starał się stworzyć przeciwwagę Zbawiciela, „Anty-Chrysta”. Dosto-jewski zaś przedwołał, „sola” Co-stusa, od pierwszego swego zetknię-cia się z Ewangelią polową. Iż wyraża ona wielkość, wykraczającą nie tylko ponad jego własną wiedzę, ale w ogóle ponad całą ludzkość. Zgodnie z tym postawa religijna Dostojewskiego nacechowana była pokorą, poddaniem się i wyrzecz-aniem. Zaden artysta — zdaniem Gide'a, — nie umiał lepiej niż on wieleć w czyn nakazu Ewangelii: „Kto znalazł duszę swoją, straci ją, a kto ją stracił duszę swą dla mnie, znajdzie ją”.

Ewangelia oddziałala jednak na Dostojewskiego w ten sposób, że dusza jego stała się siedliskiem naj-sprzeczniejszych uczuć, najróżniej-szych antagonizmów. M. in. cierpienie uotosamilo się u niego ze współczuciem, religijność z grzesz-nością a zbrodnicość z nieszczęśli-wością. Następuje u niego często zatarcie granic pomiędzy pokorą a poniżeniem własnym, a przeciw je-śli „pokora otwiera bramy Raju”, to „poniżenie otwiera bramy piekiel”. Poniżenie upadła dusze, wy-pacza ją, wysusza, zadane przez nie-rany są niezwykle trudne do wy-leczenia.

Mając w oczach taką pełną pokorę i rezygnację wizję chrześcijań-stwa Dostojewski grupuje swe po-staci niemal zawsze na jednym je-dnym planie: na planie pokory lub pychy, stanowiącym analogię do Dickensowskiego planu dobroci i nikiżności. Bohaterzy Dostojew-skiego to nie są ludzie dobzy lub źli — to są ludzie pokorni lub pyszni (ci zwykle odznaczają się wybitnymi zdolnościami intelektualnymi).

I jeszcze jedną analogię, ale rów-nież siłą kontrastu, narzuca świat Dostojewskiego: analogię z postaciami Balzaca. U autora „Komedii ludzkiej” rozstrzygającą rolę odgry-wają dwa czynniki, nie posiadające nierhal, żadnego znaczenia w dziele Dostojewskiego, mianowicie: intelli-gencja i wola. Uderza u Dostojew-skiego nieobecność wielkich ludzi. Istnieje wprawdzie wyjątek w postaci oca Zosimy z „Braci Ka-ramazow”, będącego u tego pisarza uosobieniem najwyższej miary czło-wieczeństwa, ale Zosima nie posia-da znamion uchodzących zwykle za niezbędne atrybuty ludzkiej wielko-ści. Jest człowiekiem świe-tym, a nie bohaterem: inteligencję

i wolę swą usuwa poza nawias swej działalności. Bo charakterystyczne dla postaci Dostojewskiego jest to, że wola i inteligencja wtóra je do piekła. Czynniki te, szczególnie intelli-gencja, odgrywają u Dostojew-skiego zawsze rolę demoniczną. Jego postacie najniebezpieczniejsze odznaczają się zwykle wysoką intelli-gencją. Natomiast Królestwo Bo-że zapewnia Dostojewski tym spo-śród swich bohaterów, którzy wy-rzekli się swego rozumu, przekreśliłi osobistą wolę i zaparli się siebie samych.

4

WŚWIECIE Dostojewskiego wy-pelnionym trzecimymi prze-życiami nie brak jednak miejsca dla uczuć szczęścia. Hosiłowio biorąc pozostają one wprawdzie w jaskrawej dysproporcji w stosunku do uczuć negatywnych, ale za to prze-żywają je swoją intensywnością. Kiryłow w „Biesach” wyznaje, że chwile nagłego odczucia harmonii wiecznej nie trwają dłużej niż 5 se-kund, inaczej w zresztą „dusza musiała zginąć”, lecz dla owych chwil gotów byłby oddać całe swe życie. Podobnie wypowiada się w „Idiocie” o swoich ekstazytycznych przy-życiach książkę Myszkina. Szczęście to polega na zaniku granic indywidualności i na ucieczce z czasu. Po-lega ono również na przeżywaniu wieczności w teraźniejszości.

Pozostając w jaskrawej sprzecz-ności z pojęciami katolickimi Dosto-jewski uważa, iż Ewangelia stanowi wystarczające i jedyne źródło nauki Chrystusa. Namietne ataki Do-stojewskiego na Kościół, a szczegó-lnie na Kościół katolicki, dają Gide'owi asumpt do stwierdzenia, że nie ma pisarza bardziej chrześcia-ńskiego niż Dostojewski, a zarazem mniej katolickiego. Gide sam nie godzi się z tym stanowiskiem Dostojewskiego i zaznacza, że nie pomował on, iż słowa Chrystusa izolowane prowadzą do anarchii, co już samo przez się wskazuje na po-trzebę Kościoła, tak wyraźnie pod-kreślaną przez św. Pawła. Do czego więc nas wiedzie Dostojewski? Jeśli nie wprost do anarchii, to co-ś w rodzaju buddyzmu, a przy-najmniej kwietyzmu, do bytowania poza czasem, choć rzecz charaktery-tyczna — starzec Zosima nie uważa bynajmniej życia klasztornego za ideał postawy chrześcijańskiej i za-leca Alioszy „służyć braciom w świecie”, bo Chrystus kazał ludzi chronić nie przed światem, lecz przed złem.

Co się zaś właśnie tyczy proble-mu zła, to odgrywa on u Dosto-jewskiego rolę olbrzymią. Uderza, iż Dostojewski rozróżniając trzy warstwy strukturalne osobowości człowieka: najpierw dziedzącą na-miemość i instynktów, następnie rozum, a wreszcie najgłębszych przeżyć duchowych, zło umieszcza w kręgu środkowym, nie w najniż-szym. Z reguły identyfikuje on po-kuśnięcie z pokusami intelektualnymi, ze stawianiem tzw. kwestii. Na tej drodze zaś osiągnięcia nega-cja Boga automatycznie pociąga za sobą defikację człowieka: „Jeśli Bóg istnieje — czytamy w „Bie-sach” a także w „Braciach Kara-mazow”, wówczas wszystko zależne jest od Niego i ja nie mogę wbrew Jego woli uczynić. Jeśli zaś Bóg nie istnieje, wówczas wszystko zależy wyłącznie ode mnie i pozostaje mi tylko zaświadczyć swą nie-zawisłość”.

W jaki jednak sposób afirmować tę autonomię? Dopiero to pytanie otwiera drogę, na której chylają trwogi i katastrofy. Jako pierwszy z bohaterów Dostojewskiego z pyta-niem tym się zetknął Raskolnikow. Odpowiedział na nie gloryfikacją energii, gloryfikacją ekscesu i zbrodni. Uto-ował w ten sposób drogę następcem.

Lecz to, w czym Nietzsche widział najwyższy cel życia, apogeum czło-wieczności, u Dostojewskiego do-prowadza do kompletnego bankru-ctwa. I dopiero wtedy ujawnia on w pełnym blasku główny rys swej koncepcji religijności: nigdy czło-wiek nie jest tak bliski Boga jak wtedy, gdy spada na samo dno swej nędzy. Przykładem działania prawa sekretnego był m. in. Ras-kołnikow, który po zbrodni i karze znalazł się nieoczekiwanie w obluczu rzeczywistości nadprzyrodzonej.

Zauważmy, że ta dość ryzykowa-na droga poszukiwań wartości reli-gijnych stała się bardzo nawet poposilata dla bohaterów współczes-nej powieści katolickiej. Dokonuje się to pod patronatem Karola Peg-uy, którego zdanie, iż nikt nie po-siada takiej kompetencji w materii chrześcijaństwa jak grzesznik, fi-guruje jako motto jednej z najgło-sniejszych powieści katolickich: „Sedna sprawy” Grahama Greena.

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

84

85

86

87

88

89

90

91

92

93

94

95

96

97

98

99

100

stencjalisci wysnuwają wnioski ma-jące na celu stworzenie człowieko-wi nowych podstaw życia z wyłączeniem transcendencji jako fikcji lub iluzji. Chrześcijańscy myśli-ciele rozumują wręcz odwrotnie: sfera wartości religijnych doznaje u nich niebywałego uintensywnienia.

Otóż z tego założenia wychodząc podjął się analizy religijnych elem-entów twórczości Dostojewskiego (uznanej nie tyle za wybitnego psychologa, ile przede wszystkim za homo religiosus w rodzaju Kier-kegarda) katolicki myśliciel niemiecki Teodor Steinbüchel w książce „T. M. Dostojewskij, Sein Bild vom Menschen und vom Christen” (Düsseldorf 1947) — „Teodor Dostojewski, obraz człowieka i chrześcijanina”.

Zdaniem Steinbüchela dzieło Do-stojewskiego uoacza się religijną do-niosłość „sytuacji granicznych” czło-wieka obdarzonego wolnością roz-strzygnięcia, czy pragnie on istnieć w obrębie nadprzyrodzonej czy też nie. Jednakże Bóg nie poprzestaje na obdarzeniu człowieka swobodą decyzji — jako Bóg miłości usuwa On granicę oddzielającą Go od czło-wieka i wychodzi mu naprzeciw czekając jedynie na wyrażenie eg-zystencjalnej zgody na miłość Bo-żą. W wypadkach pozytywnych stoi przed człowiekiem otworem nie tyl-ko droga do Boga; zaczyna on poj-mować, że jego najgłębsza własna istota ukryta jest w Bogu i że wszystkie istnienia są wzajemnie z sobą powiązane miłością. Właśnie w niedoli poprzez oczyszczającą moc cierpienia człowiek dzięki działaniu istniejącego w nim potencjalnie pierwiastka boskiego zyskuje zdol-ność do opowiedzenia się za Bogiem. Proces ten w pełni oddaje Dostojewski. Ale autor „Biesów” dostrzega również możliwość negacji i w jaskrawych barwach oraz z ab-solutną siłą przekonania maluje następstwa samostanowienia lub sa-mouwielenia człowieka.

Jednak ten antychrześcijański obraz człowieka Dostojewski cal-kiem niesłusznie upatruje w Ko-ściele rzymsko-katolickim. W „Le-gendzie o Wielkim Inkwizytorze” wyrażił on w formie artystycznej, a zarazem w stopniu najpełniejszym swój pogląd na rolę Kościoła za-chodniego w dziejach chrześcijań-stwa i ludzkości. „Legenda” stanowi źródło konsternacji, prawdziwą czu- dla wszystkich katolickich in-terpretatorów Dostojewskiego. Steinbüchel nie przezwycięził do Gide'a nie poprzestaje na stwierdze-niu współistnienia głębokiej chrze-ścijańskości Dostojewskiego wraz z nienawiścią do katolicyzmu, lecz stara się wskazać na źródła tej nie-nawiści u człowieka tak chrześcia-ńskiego. Istota zagadnienia, wy-daje mu się mieścić w tym, że Do-stojewski uważał Chrystusa wyłącz-nie za Miłość, natomiast odmawiał Mu atrybutu mocy i władzy, który właśnie silnie podkreśla Kościół ka-tolicki. Wbrew mniemaniu Dosto-jewskiego, któremu wydawało się, że w Ewangeli ujrzał prawdziwy wizerunek Chrystusa, Steinbüchel wykazuje, iż jego „wszystko wy-baczający” Chrystus bynajmniej nie jest Chrystusem Ewangelii, lecz jest intelektualną konstrukcją samego pisarza. Z wywodów Steinbüchela wynikałoby, że Dostojewski to nie jest Ewangelia przeciwstawiona ka-tolicyzmowi — jak to interpretował Gide — lecz jednostronna i bardzo indywidualna wykładnia Ewangelii,

harmonizująca doskonale z negacją katolicyzmu.

6

STUDIA Steinbüchela były wła-ściwie tylko podjęciem i rozwi-nięciem na własną rękę tezy, z którą już przed nim wystąpił inny niemiecki teolog katolicki — Romano Guardini, a to w książce ogłoszonej już w roku 1933 pod tytułem: „Religiose Gestalten in Do-stojewskij Werk” („Religijne po-staci w dziele Dostojewskiego”).

Dzieło Guardiniego było wyrazem żarliwego kultu autora dla pisarza rosyjskiego, było płomiennym wy-znaniem jego miłości do niego, na dalszy plan odsuwającym postulat bezamięnej analizy. Dla przykładu wystarczy przytoczyć takie miej-sce: „Długi czas Ewangelia św. Jana pozostawała dla mnie zamknięta, ponieważ nie mogłem pojąć wyra-żonego w niej sposobu myślenia... Wtedy spotkałem „Idiota” i Myszkina. W postawie tego ostatniego u-dało mi się znaleźć coś, co przypo-minało postawę Janowego Chrystusa i ujrzałem doniosłość „płaszczyny”, gdy idzie o strukturę i zrozumienie sytuacji... Dwa ludzie, którzy się spotykają, tym przedziś się zrozumi-ają, im bliżej są płaszczyny, na których istnieją lub z których wy-chodzą”. A ponieważ tego niezbęd-nego elementu zabrakło Chrystus stał się równym z „zostawieniem dla swego ożeczenia, jak Myszkina, w którym „Chrystus się objawił”.

Tak więc Romano Guardini mimo całego swego teologicznego ekwipun-ku, mimo swego ścisłego związania z nauką Kościoła katolickiego pot-raktował Dostojewskiego raczej jak-ko swą wielką przyrodę duchową, jako twórcę i przeobrażającą prze-życie, świadom zresztą całej ryzy-kowności, jaką z sobą takie stano-wisko niesie. Nic więc dziwnego, że tak ujęta książka Guardiniego o Dostojewskim spotkała się w ko-łach katolickich ze sprzeciwami. Wśród nich na przypomnienie zas-luguje ostry głos, jaki podniósł z tej okazji ojciec Jacek Woroniecki w artykule „Przegląd Powszech-ny”, 1948, nr 7—8).

W artykule tym O. Woroniecki przeciwstawił się stanowczo w ogó-le wszelkim postaciom kultu autora „Biednych ludzi” w kołach kato-lickich jako zgnębny w swych skutkach. Negatywnie przeto oce-nił Bernanos i Mauriac za widoc-żne uleganie wpływom Dosto-jewskiego, lecz najbardziej ubolewał nad wybitnym urzeczaniem się pi-sarzem rosyjskim szeregu teologów katolickich w rodzaju jezuity O. de Lubac, dominikanina O. J. M. Ni-colas, Karola Pfliegera (współautora wydanego przez niemieckich bene-dyktynów zbioru studiów „Geister die um Christus ringen”) i Romano Guardiniego.

O tym ostatnim pisał O. Woroniecki, że „poszedł najdalej w u-wielbieniu chrześcijaństwa Dosto-jewskiego” a przez długie lata wy-kładając na uniwersytecie berliń-skim filozofię chrześcijańską musiał fatalnie oddziaływać na umyśle skupionej wokół niego młodzieży katolickiej.

To ciężkie oskarżenie wiązało się z stanowczym odrzuceniem przez O. Woronieckiego poglądu, jakoby dzieło Dostojewskiego reprezento-wało pozytywne wartości chrześcia-ńskie. Stanowisko swoje w tym zakresie uzasadnił zarówno w cy-towanym już artykule, jak i w roz-ważaniach zamieszczonych w „Ty-

zwyklej sprawach ludzi, postawił stanowcze żądanie: „Wciąż trzeba się modlić i nigdy nie ustawać”. A pogłębił ten paradoks apostoł Pa-wel, który chlubił się, że „we dnie i w nocy pracował” jako zwykły tkacz namiotów i siebie stawiał za przykład do naśladowania, a z drugie-j strony wywołał wernych: „w modlitwie nie ustawać!”.

Ta oficjalna modlitwa Kościoła zaczęła się w czasach apostołskich, kiedy schodzono się na modlitwę z ostatnią i pierwszą godziną dnia, o zmierzchu i o świcie. Jej duch tkwił u podłoża modlitwy poranka i przedpołudnia, popołudnia i nocy, o których czytamy na kartach „Dziejów Apostolskich”.

Właściwy jej rozwój przypadł na okres tworzenia się pierwszych wspólnotach ludzi, którzy odsunęli się od świata, by życie swe poświęcić chwale Boga, luźne dotąd i róż-norodne modlitwy liturgiczne zaczę-ły nabierać jednolitego wyrazu i weszły w uporządkowane ramy. W takiej postaci przyjął je też Kościół i w formie „Breviarium Romanum” brzmiał w nich i dzisiaj nieustający początek wieczności:

„Ciebie rankiem chwalimy pieśnią Ciebie błagamy wieczorem; Dozwól bnyśmy Cie kornie Sławili między niebianami”.

W ten sposób modlitwa Kościoła nie ogranicza się do dni świątecz-nych i niedziel, lecz swoim uswie-

godniku Powszechnym” (nr 133, 1947) pt. „Chrześcijanin powieści Dostojewskiego i Mauriac’a”. O. Woroniecki dawał tam wyraz swe-mu przekonaniu o tym, że o war-tościach chrześcijańskich Dostojew-skiego mowy być nie może, gdyż chorobliwość autora, zwłaszcza je-go histeria, skazywała go na przed-stawianie ich jedynie w krzywym zwierciadle. Dostojewski — jego zdaniem — nigdy nie rozumiał ta-jemnicy odkupienia człowieka przez Chrystusa, tak podstawowe znaczenie posiadającej dla chrześcijań-stwa, walkę zła i dobra w duszy ludzkiej przedstawiał w sposób, będący zaprzeczeniem chrześcijańskie-go rozwiązania, a „tego, co jest rdzeniem nauki Chrystusa, a mianowicie nastroju serca, w którym należy przyjąć łaskę odkupienia, nie pojął on nigdy”.

Postawa zajęta wobec Dostojew-skiego przez ojca Woronieckiego (próbowałem z nią polemizować w artykule „Pierwiastki chrześcijańskie u Dostojewskiego” — „Tygod-nik Powszechny” nr 136, 1947) wła-snie dzięki swym ostrym akcentom była przykładem owego dwójnego oddziaływania autora „Braci Kara-mazow” na umysł, owej miłości i odrazy, o których pisaliśmy na początku tych uwag. I to również świadczy o sile i żywotności pi-sarza.

6

PIENIĄDZ Z DOMU NOCLEGOWEGO

O HYNNE dni, kiedy świadomość życia ogranicza się właściwie do kilku godzin, a pozostały czas jest tylko pograżeniem się w tępą nieobecność na tym świecie. Niezmierzone odległości wtłaczają się w żółty szescian walący się karczemny, spleśniały chleb ma smak kurzu dalekich dróg, czarne wieko chłodnych nocy, życie przejawia się właściwie tylko w nieznacznych drgnięciach agonii na znak, że odchodzi; i jeżeli istnieje ktoś tak okrutny, aby wysmiewać się z tego, niech wymówi tylko jedno słowo: nadzieja.

Dzień, który przyniósł świadomość bliskiej śmierci, przyłączył się tylko — dawno oczekiwany — do długiego szeregu dni pozostałych i nie był chyba najgorszy. Tylko głód odczuwałem bardziej niż kiedy indziej. Suche i rozpalone ulice prowadziły w pustkę; szedłem nimi, ponieważ nie miałem gdzie odpocząć, szedłem mechanicznie, ciągle naprzód; była to moja ostatnia droga i mimo że zdawałem sobie sprawę z niedalekiej śmierci, mimo iż życie moje właściwie się już skończyło, nie miała żadnego celu. Nie kiedy tylko ulica gwałtownie wrotwało przede mną, a ja w nagłym zawrocie głowy opierałem się o ścianę kamienicy, aby nie upaść. Wtedy niebo nachylało się ukośnie ku chodnikowi, domy padały jedne na drugie, a szyny tramwajowe zwijały się w błyszczące spirale, które wspinały się ku rozpalonemu niebu. Kiedy oszołomienie minęło, rozglądałem się wokół: mknęły samochody, domy sterczały w górę, życie toczyło się naprzód. Mijali mnie jacyś ludzie, szedłem z nimi aż do chwili, gdy atak powracał, z tą tylko odmianą, że tym razem w obłąkanym tańcu brały udział i wystawy sklepowe, które nagie wybiegały mi naprzeciw, a ja w panicznej ucieczce przywieriałem jak pajak do najbliższej ściany. Była to droga, podczas której nie mogłem już na niczym polegać i napędzany nędzą i głodem włókłem się nią do wieczności w upale bezlitosnego dnia, poprzez długie ulice, trącany lokciami przechodniów i hipnotyzowany strzępami ich nieważkich rozmów, których pewne słowa — nie mające dla mnie żadnego znaczenia — utkwiły mi na zawsze w pamięci.

Ale byli to przecież ludzie, których twarze zmieniły się podczas wędrówki, byli to jeszcze ludzie, ale potem wydawało mi się, że idę pośród potworów. Nigdy dotąd tak ostro i wyraźnie nie spostrzegłem przedziwnej faniastyckości tylu różnych twarzy, tylu najrozmaitszych ruchów nóg, rąk, głów i ciał — jak w tej godzinie niewysłowionego głodu, który zastrzył i zelektryzował do najwyższego napięcia wszystkie moje zmysły; świadomość nieumkniętej śmierci zniknęła niejako wobec uczucia niepojętej grozy i wstępu do ludzi na chodniku, przed którymi nie miałem się gdzie ukryć. Dopiero później miłosierne zmęczenie sprawiło, że widziałem ich jak poprzez mgłę. Chociaż szedłem zataczającym się i chwicznym krokiem pijaka, nikt nie zatrzymywał się, aby sztydzić ze mnie, gdyż nędza moja była tak widoczna, że ludzie się raczej odwracali. Widzieli mnie zmierzającego do trupianki, widzieli moje życie i śmierć zbyt wyraźnie, niżym nie przesłonięty, gdy ja — na odwrót — widziałem ich wszystkich jak we śnie. Szedłem nieprzystojny, z głodu i wysiłku; chwilami z perspektywy ulicy wychodziły naprzeciw mi jakieś kontury i oczy utpione w tłuszcza twarzy, oczy, które mówiły o życiu pełnym i sytym; szedłem niby we mgłę i niekiedy tylko u-

świadałem sobie, że naprzeciw mnie wychodzą jakieś potworne postaci, których leniwy chód i cały ten proces trawienia, jaki zapisywały na bruku każdym krokiem, wprowadzał mnie w tępą wściekłość. Byli zbyt głodni, a ja między nimi — kłęb mięsa, obrosły brudem miejsc, gdzie sypiałem w wyżebranych łachmanach wraz ze swoją śmiertelną rozpaczą — byłem tylko cichym, ślaniającym się w milczeniu cieniem w ciągu tych niewielu godzin, jakie mi zostały, zanim dojdę do kądki i wszystko się skończy.

z murem cementarnym, w opuszczonej cegielni lub pod przeseł mostu. Jakże doskonale znałem grozę i rozpacz tych miejsc, gdy musiałem tam sypiać. Leżaliśmy jak padlina, a jeśli człowieka ze zlamaną nogą, płacz chorego dziecka, suchy kaszel starca tuż przy mnie, przekleństwa i modlitwy pijanych kurw — wszystko to nie pozwalało długo w noc oszukać głodem snem. Znad rzeki uniosła się czarna mgła i ścisnęła nam gardła, później mięsz nocy wchłonił nas zupełnie. Ilekroć budziłem się przerażony myślą, że śpię pośród

liwych przywidzeń, szczeliny, po których oczy bezustannie błądzą, błądzą aż do bolesnego zmęczenia. I ludzie układają się pod tym do snu. A więc zaczęło się od tego, że niektórzy przeżywali jeszcze swoje kolacje, a mnie — słyszącę ich mlaskanie — rozdzierały gwałtowne skurcze głodu. Wyszły język odlepił się od podniebienia i dotykał bez czucia dżasiel jakby posypanych popiołem. Nagła nieprzytomność zamknęła mi powieki. Jak długo to trwało, nie wiem, gdy jednak zbudziłem się z lodowatej ciemności, zarówki płonęły nadal.

A kiedy — prawie u celu — jeszcze raz rozglądałem się wokół, spostrzegłem, że wszyscy spali i tylko jeden czuwał. Ten człowiek siedział bardzo blisko. Był do mnie zwrócony bokiem, ale ja od razu zauważyłem: on wiedział, co robię. Przez cały czas, gdy ja bezlitosnie zmuszałem ciało do najboleśniejszych pozycji, gdy starałem się w groteskowym wysiłku pokonać odległość dzielącą mnie od monety i kurczowymi ruchami posuwałem się przez milimetry desek, tamten siedział nieruchomo, skamieniały w uważnym nasłuchiowaniu. Na

tymi rękoma. — Słyszałem i do myśliłem się w szyskiego z dwóch ruchów. Nie kłam! Jeżeli nie podzielił się ze mną, zaczęć krzyżać ze mną okrać! Ocknąłem się, gdy potrzęsnał mną mocno, a bielmo jego oczu zabłysło tuż przy mojej twarzy. Ostrożnie usiadł obok mnie i wbił ostre, żółte paznokcie w moją rękę, mówił szybko, urwany: — Słyszałem wszystko... nie oszukasz mnie... dawaj tu te pieniądze! Tylko my dwaj czuwaliliśmy pośród śpiących. — Zlituj się nad biednym ślepym. Już dawno nie miałem nic w ustach. Bóg ci to wynagrodzi stokrotnie. Nie pozwól mi umrzeć... zlituj się... Teraz znowu spostrzegłem tę monetę. Leżała na wyciągnięcie ręki, prawie tuż przy mnie, i odbijała słabym połyskiem od desek podłogi. Wyzywała mnie, mamła, ludzka. I znowu zbierałem wszystkie siły.



Rys. Gabriel Rechowicz

Gdzieś tam społa za oknami dziecko, gdzieś tam płynęły ciche rzeki, a gdzie indziej szumiały puszcze na nieruchomych zboczach żarzybiałych gór; jest także Gobi i Wielka Pustynia Piaszczysta i są beżniary poleanych lodów ze szczytem Erebus; gdzieś tam za oknem spalo dziecko i było to jedyne miejsce cisy i spokoju na całym świecie, między cegłami kamienic i gwarem ulic, losokatem arterii, którymi szedłem, z trudem chwytając oddech i przymykając oczy, kiedy ulica wrowała obłędnie, waliły się domy, a niebo pochylało się ku brukowi, i gdy w przypływie słabości tuż przy mnie nabrzmiewała jak wrzód twarz ludzka.

Cały mój majątek stanowiła kerta wstępu do przytulku. Wielokrotnie już mięciłem ją palcami w kieszeni kamizelki, ciągle jednak nie byłem pewien, czy znajduje się tam naprawdę. Kiedy wyjąłem ją ostrożnie i uważnie przeczytałem, kiedy nacieszyłem się już jej różowocia, szorstkością papieru i nieco rozmazanym drukiem i włożyłem na powrót do kieszeni, nie upłynęło nawet pięciu minut, a już drżałem ze strachu, że ja zgubiłem lub, że był to niepotrzebny kawałek papieru, zapomniany w kieszeni kamizelki, i wobec tego znów będę musiał nocować gdzieś

umarłych! Twarze wokół mnie były żółte i białe. Uspokoiłem się dopiero wówczas, gdy podnosząc się nad skreconymi w łepym śnie ciałami i rozglądając się naokoło, usłyszałem rozpaczliwy bełkot lub okrzyk młodego epileptyka, który przed atakiem widywał zawsze białe konie i płomienie.

Świt budził nas jeszcze bardziej wynędzniałych. Rozchodziliśmy się bojaźliwie, a brzydota nasza była niezmierna. Kradliśmy jeden drugiemu chleb i zadrościłymi naswet kamienia pod głową. Z siedliska naszej nędzy rozlaźliśmy się po mieście, aby wieczorem gromadzić tuż do znowu, każdy na swoim kamieniu, nasiąkły obrzydzeniem; doobny, gęsty i zimny deszcz, szarpnięcie wicherów, niepoгода i mroz — nie nie zmusiło nas nigdy do zwracania się do siebie, w ciepłą gromadę. Nie wstydziłyśmy się swoich chorób ani wyziewów, ale jeden wstydził się drugiego jako człowieka. Zaprawde, nie pragnęliśmy już ani buntu, ani współczucia, ani sprawiedliwości, chcieliśmy tylko spać. Wieczór płynął przez nas jak rzeka, a my leżaliśmy obok siebie na wznak jak topielcy i jedynie dźwięk dzwonów z wieży dalekich kościołów śpiewał nad nami i płakał w cisy nocnej.

Widzę wszystkie życia, widzę marzenia, które spełniają się, by po chwili zniknąć; jesteśmy uwięzieni w białym szescianie dnia i nie ma dla nas ucieczki.

Karty wstępu do przytulku nie wymieniałem z nikim za jedzenie ani rzecz nie sprzedalem, ochraniałem ją troskliwie jako jedyną rzecz, jaka mi jeszcze pozostała. Śmierć nie była już daleko; może umrę właśnie tu, w domu noclegowym? Po takim życiu człowiek chce umrzeć przynajmniej z dachem nad głową.

NARESZCIE zbliżyła się godzina, kiedy otwierają drzwi domu noclegowego. Szedłem. Na dworze zaczął właśnie padać deszcz; daleko za mną pozostał dżdżysty wieczór, którego obraz przyniosłem do przytulku: chwiczny blask latarni naczynych oświetla tylko rzeczy smutne i ponure, plachcie przemokniętej gazety z powtarzającymi się wciąż wiadomościami, strzęp plakatów ogłaszających dawno minioną uroczystość, róg śmierdzący pleśnią nawilgłych odpadków. Tam niekiedy spią oni, podobni do różowawych samobójców, którzy otruli się gazem ulicznych latarni.

Leżmy spokojnie — najrozmaitsi ludzie — w tym parnym, przegrzanym szescianie, a nad nami płoną dotąd zarówki jasnym, bezbarwnym światłem, w którym twarze umierają szybciej niż ludzie. Ściany są białe jak w szpitalu, a na nich rysują się szczyeliny i szpary, równie szpitalne, a także wykresy naszych gorączek i widzeń, zygarki i zakryty dla nieprzytomnego blądzenia oczu, szpary odpędzające sen i pełne chorob-

I w tej chwili spostrzegłem na podłodze, tuż przy mojej przycy, srebrną monetę dziesięciokoronową. Najpierw nie wierzyłem w ogóle własnym oczom, później jednak, gdy upamięliłem się trwożliwymi spojrzeciami, zacząłem usmiechać się do tego srebrnego krążka na podłodze, do zrenicy szczęścia spoglądającej na mnie z nagłym wyzwaniem, do srebrnej gwiazdy w płowinach przytulku, do tej wielkiej obietnicy ocalenia, o którym nie tylko że dawno zwątpilem, ale które było mi już po prostu obojętne.

Powracała radość — nie umiem tego inaczej określić. Tam na podłodze leży moje wyzolenie. Może znowu powrócę do dni, które nie będą różne kiedy będę mógł znowu walczyć o zachowanie życia?

To pewne, że zanim promień Bożego miłosierdzia dobiegnie do mnie, przeżył niezmierną drogę; ale ja posiadam tę monetę jako żebrak, jako żebrak posiadający monetę, która — jeszcze ciepła — wypada z rąk innego żebraka.

Chcąc jednak pocieszyć się z przycy, zwałem się w bólu na wznak. Moneta leżała nie więcej jak metr od mojego legowiska i jej blask słabo połyskiwał w świetle zarówek, które niebawem na pewno zgasną. Leżała całkiem blisko, oczekując na moją dłoń, a plama, jaką tworzyła na podłodze, zwiększała się lub zmniejszała zależnie od tego, jak na nią patrzyłem. Ważkość tej chwili była niezmierna.

Z cierpliwością, której nie zrozumie tylko ten, kto nigdy o nie wspomniał, nie walczyłem i nie chciałem nigdy nadać swemu życiu innego biegu, co chwila odpoczywając i rozpaczliwie badając, czy nikt mnie nie śledzi, czy nie obserwuje moich dziwacznych, ślimakowatych ruchów, pomału pełnałem ku krajowi przycy; przebiegle wsikałem się pod zrzucający koc, gdy tylko usłyszałem czyjś głębszy, gwałtowniejszy oddech czy charkot, przerażony, że odkryję to cel moich usiłowań. Ci, którzy uciekają z więzienia i w ciemnych kątach korytarzy, wciśnięci w kamienie ścian, z gwałtownym łomotem w uszach nasłuchują oddalających się i znów przybliżających krótko strażcy, ci, którzy pochyleni nad umierającym jedynakiem, z oczyma tonącymi we łzach, słyszą ślimakowate ruchy agonii w urwanym rytmie jego tętna, i ci, którzy mordowali i wydawali się im, że w zamierającym szescianie uchodzącego oddechu ofiary usłyszeli okrzyk: „Boże ach Boże!”, od którego pękają ściany, ci, którzy umierają, i w ostatniej sekundzie widzą pod zamkniętymi powiekami ogromną światłość Raju i palenisko piekła i żar, ci, którzy za chwilę oszaleją, i ci, którzy zablądzi w zimowych bezdrożach, ci, którzy uciekają przed wściekłym psem, i ci, którzy mają objawienia, nie poznali większej rozpaczy niż ja pełzać po deskach przycy,

pewno wiedział, że znalazłem tu pieniądze, i zamierzał wyrwać mi zdobycz, gdy tylko będę ją miał w rękach.

Wszystko było stracone. Stoczyłem się na posłanie i przywarłem twarzą do koca w niemy rozpacz, bez łez, bez jęku, niezdolny wykonać najmniejszego ruchu. Na próżno stroniłem reszkę sił w beznadziejnej walce o nic, bo przecież ten człowiek przy moim wyczerpaniu mógł wyrwać mi łup — gdy tylko będzie odnaleziony — jednym szarpnięciem.

Trwało to może godzinę, może mniej, a my obaj byliśmy jak wycośnieni z kamienia. Siedział bez ruchu i był jak męczący, ucielesniony sen, jakby wyrabano go z jakiejś najstarszej warstwy skorupy ziemskiej; nie drgnął nawet, podczas gdy ja oddychałem głośno, z wysiłkiem, i czekał na moje ostatnie westchnienie.

Pochyliwszy się jednak ku niemu, zauważyłem, że ten człowiek jest ślepy.

Budzącą się znowu nadzieją była jak mały dreszcz, który przebiegł mnie aż do korczaków włosów. Sciskając ciągle koc spojrzałem znowu na podłogę. Dziesięciokoronówka leżała tam dotąd, czekając na moją dłoń.

Nie wzywając się ze mną, ale powtórnie odbyłem całą tę niemożliwą drogę, posuwając się z powrotem, aż znalazłem się w miejscu, skąd mogłem już sięgnąć po pieniądz. Ale szukając ręką tam, gdzie go widziałem, dotykałem tylko pustej podłogi. Dziesięciokrotnie ponawiałem tę beznadziejną próbę, zlałem z przycy, kłęknałem, położyłem się na podłodze, badałem wszystkie szpary, grzebałem w kurzu i brudzie.

Monety tam nie było. Ciągłe jeszcze pamiętałem wiele wydarzeń swojego życia, przez które przebiegałem się z trudem, pamiętałem nawet przygodę powszednie i drobne, ale naprawdę nie pamiętałem, co działo się ze mną w pierwszej chwili po tym odkryciu. Wiem tylko, że płakałem i śmiałem się na przemian, pociszyłem się wspierając o krawędź przycy i opadłem z powrotem na podłogę i tam już zostałem, spowity cemością, która nie sprawiała mi bólu, ale na odwrót: czulem w niej taką ulgę, jakbym znalazł się naraż gdzie indziej, w innych krajach, w jakimś świecie, gdzie nie ma nędzy ani rozpacz, ale życie łagodne i spokojne, które zachęcało mnie, abym zaczął przeżywać je od początku, w innej postaci. Nie męczyło mnie już ani cierpienie, ani żal, ale i radość nie nadzła jeszcze, nie mogę też mówić o obojętności. Był to bardzo dziwny stan, stan całkowitego oddania, ale i te słowa ze są dobrane. Wszystko wokół mnie było w ogromnym oddaleniu i z niego dobiegał szep szept ślepego.

Znalazłem tam zgubione pieniądze, co? — szepotał ślepy zbliżając się do mnie z wyciągnię-

tymi rękoma. — Słyszałem i do myśliłem się w szyskiego z dwóch ruchów. Nie kłam! Jeżeli nie podzielił się ze mną, zaczęć krzyżać ze mną okrać! Ocknąłem się, gdy potrzęsnał mną mocno, a bielmo jego oczu zabłysło tuż przy mojej twarzy. Ostrożnie usiadł obok mnie i wbił ostre, żółte paznokcie w moją rękę, mówił szybko, urwany: — Słyszałem wszystko... nie oszukasz mnie... dawaj tu te pieniądze! Tylko my dwaj czuwaliliśmy pośród śpiących. — Zlituj się nad biednym ślepym. Już dawno nie miałem nic w ustach. Bóg ci to wynagrodzi stokrotnie. Nie pozwól mi umrzeć... zlituj się... Teraz znowu spostrzegłem tę monetę. Leżała na wyciągnięcie ręki, prawie tuż przy mnie, i odbijała słabym połyskiem od desek podłogi. Wyzywała mnie, mamła, ludzka. I znowu zbierałem wszystkie siły.

— Ty ją widzisz, ty ją znajdziesz — szepcze gorączkowo ślepiec. — Wiem, że widzisz te pieniądze, pzbieraj je przedź, nim nas uprzędą, przedź!

— To dziesięć koron. — Pochyliam się, a ślepiec wraz ze mną, jakby się bał, że go oszukam, kładzie się prawie na mnie, dotyka mojej ręki, jego cary odcień człowieka głodnego wonią kolo moich ust; przycałował twarz do podłogi.

— Już go masz? — szepcze. — Nie mogę... — Męcę się błądząc palcami po podłodze. — Nie mogę go znaleźć...

— Widział go? — Tuzyma się mnie kurczowo.

— Widzi! — Widziałem teraz pieniądz naprawdę, tuż obok ręki. Signalem. Monety nie było. Moneta leżała trochę dalej. Szybko sięgnąłem ręką. Ale nie było jej tam. Leżała bliżej mnie. Chwyćłem ją szybko. Ale podniosłem tylko pustą dłoń.

— Daj mi te pieniądze, daj mi trochę tych pieniędzy — szepcze obok mnie ślepiec.

Moneta leżała teraz prawie między moimi kolanami. Pamięlu przesuwałem palce. Na próżno. Monety tu nie było.

BYŁA to noc halucynacji i złud z głodu, który wywoływał przede mną cienie rzeczy minionych i tych, jakie mogły mnie ocalić, ale nie ocaliły, gdyż istniały tylko w gorączce z wyczerpania, w marzeniach o wszystkim, czego nie było, a co wydawało mi się, że widzę myśląc o ocaleniu; była to noc jak każda inna: noc w przytulku, pełnym chrapania śpiących, z ciężkimi cieniami w kątach, noc halucjacja nad naszymi ciałami na zapłutej podłodze domu noclegowego, noc niepotrzebna i próżna, kiedy nawet ślepy nie mogą zasnąć i leżą z otwartymi oczyma.

Noc, która ty pozwoliłeś obojętnie odejść przez szybę okien nie myśląc o nas, noc daremnych usiłowań, płynąca nad dachami kamienic i fabryk, zatracałca się sama w sobie, noc potworna. Siedziałem na podłodze, z głową wspartą na krawędzi przycy, i przerażony, że gdybym choć trochę uchylił powiek, majak powrócił, gdzie zjawiał się i zniknął na przemian, mocno zaciskałem oczy, tak abym nie wokół siebie nie widział. I jakby ktoś ścisnął mnie za gardło coraz silniej i silniej (lecz niestychanie powoli), tak świat żywych zniknął przede mną w welonie mgieł coraz gęstszych, a ja pograżałem się w dretwy, sławiany sen.

I budząc się zeń niekiedy w kurczowych bólach głodu, widziałem, jak ślepiec pełza po deskach podłogi, przeskakując drżącymi palcami każdą szparę, jak zdyszany i zmęczony zmierza ku mnie i przetrząsa moje kieszenie, jak znowu czuła się kolo przycy, ramionami przycisnięty do podłogi, jak sapie z gniewu i wzburzenia, dusi się żalonym szlochom i znowu, znowu beznadziejnie się męczy. Jak głodny walczy o rzecz, która istniała tylko w halucynacji, jak narzeka i przeklina moją bezwzględność, przekonany, że pieniądze wziął sobie i schował, i jak znowu przeskakuje każdą szczelinę podłogi chcąc wymacać rzecz nierzeczywistą.

Byliśmy zamknięci w trumnie czterech ścian, gęś es z drzwiami, które się może nigdy nie otworzą. Leżały na nas noc i czas, lody światła i głębinny mór, beżniary ledowatych płaszczyn i piaszczystych pustyni; a my, my sami, byliśmy głosem przepaści.

Taki upadek! Kiedy się zbudziłem, przez szpary okienne sączył się brudny świt. Śpiący budzili się i przesiadali, drząc z zimna. Na podłodze przy mojej przycy leżał ślepiec i spał, zmęczony i zagoniony. Zauważyłem, że usmiecha się przez sen i że silnie zaciska dłoń prawej ręki, która, musiałem obejść wchodząc do mieszkania, będącego — niestety! — znowu jedyndm oddaleniem.

Przełożył Andrzej Piotrowski

d n i a

Wtule znaczenia symbolicznego, a „szkodliwy zar stonca” staje się obrazem wpływu świata widzialnego na życie duchowe człowieka. Modlitwy się więc:

„By ciał nie dotknął brud, a serc — zniechęcenie, by za dotknięciem wstępku nie ostygł zapal ducha”.

„Kiedy różowieje i powstaje słońce złoście” (Laudes), wyrażamy swą radość z chwały Boga, Stwórcy światła i łaski — radość z chwały smartwychwstałego Chrystusa, który jest naszym Światłem i Dniem.

„Już po wschodzie gwiazdy światła” (oficjum Prymy) odmawiamy modlitwę poranną na rozpoczęcie pracy. Z góry układamy dzień w ten sposób, by „wszystkie rozmowy, myśli i prace do Boga się kierowały” i od Niego czerpały blagostawieństwo.

Tercja, Seksta i Nona są krótkimi modlitwami w przerwach pracy, które mają zwrócić myśl ku Bogu z prośbą o Jego miłość, o miłość bliźniego i wytrwanie w dobrym.

Oficjum wieczorne (Vesperae), odmawiane „gdy już słońce zachodzi ogniste”, jest wyrazem wdzięczności za łaski otrzymane w ciągu dnia. A zamykające dzień pracy Kompletorium jest modlitwą przed snem, prośbą do Stwórcy o opiekę, noc spokojną i osiągnięcie celu ostatniego.

Myśl przewodnią tak pojętej modlitwy Kościoła wyraził św. Augu-

styn: „Niech nie tylko głos twój dźwięczy chwałą Boga, lecz niech z głosem będą zgodne twoje prace. Gdy śpiewasz głosem, kiedyś zamilknie; życiem swoim tak śpiewaj, byś nigdy nie zamilkł”. Wpływ modlitwy, rozsiąanych po różnych porach dnia ma kierować do Boga wszystkie prace. W „Regule” jednego z głównych twórców brewiarza, św. Benedykta z Nursji, prace zajmują większość czasu dnia, a modlitwa w chwiałach wycisnienia jest siłą wiążącą pracę i wysiłek z wiecznością. Ten sam motyw podkreślał też prawodawca zakonny Wschodu, św. Bazyl pisząc: „człowiek zwrócony do pracy, towarzyszącą mu wszędzie modlitwą, hymnami jak solą zaprawia swą pracę”.

Na ten motyw winno też dziś kłaść akcent odrodzenie liturgiczne. Pełnia życia liturgicznego możliwa jest tylko w zakonach, ale głos liturgii „winien docierać nie tylko do uszu wiernych, ale raczej wznosić ich myśli i dusze do Boga, aby Mu siebie samych i prace swoje z Jezusem Chrystusem złączyli całkowicie oddali”. Wierni winni z oficjum czerpać treść do swoich prywatnych modlitw, a katolicy — choć od czasu do czasu — za swój pacierz codzienny brać komplety i prymę.

mediator

Zanim wylądujemy na Okęciu...

17 grudnia

PODNISZCZONYM, brudnym samolotem „Lotu” lecimy do Warszawy. Jest rzeczą oczywistą, że nie stać naszego kraju na luksusowe samoloty pasażerskie, ale porównanie czystości „Swissairu” i „Lotu” nastraja nas ponuro. Lecący z nami cudzoziemcy są wyraźnie szesnisi zarówno rozmiarami samolotu, jak i jego zaniedbanym wnętrzem. Pozbawiona stewardessy (czyżby źle pojęta oszczędność?) załoga robi co może, aby uprzyjemnić lot. Radiotelegrafista przygotowuje posiłek, który podaje pasażerom z męską zgrabnością. Prawie zimna herbata z termosu, kanapka z szynką, jabłko i kieliszek winiaku, zaspokajają wygłodzone wielogodzinnym oczekiwaniem w Pradze żołądki. Nie mniej kontrast jakości, ilości i estetyki pożywienia z podawanym na zagranicznych liniach jest zawstydzający. Dobiegają mnie strzępy rozmowy rodaków wracających z delegacji służbowej. Opowiadają, że zabrali walizkę jedzenia z Polski, aby zaoszczędzić pieniądze na zakupy, że szczerą naiwnością dziwią się, że fakt trzymania polskich kiełbas, chleba i masła między oknami hotelu budził zdumienie cudzoziemców. Rodacy ci należą widocznie do niestety istniejącego galunku ludzi, którzy w czasie pobytu za granicą godzinami wystają przed oknami sklepów, oszczędzają na fryzjerze i chodzą w brudnych koszulach, by po powrocie do domu obdarować żony i nieżony różnymi fatalaszkami. Snują różne projekty na temat likwidowania tego rodzaju typów, które przynoszą swą postawą ogromną szkodę propagandową Polsce. Nie po to przecież państwo daje zupełnie niezłe diety wyjeżdżającym za granicę, aby zachowywali się oni jak dzikusy, pochodzący z najbardziej zacofanego, kolonialnego kraju.

Lecimy w mleczej, gęstej mgle. Wiadomo, że wystartowaliśmy z Pragi, ale gdzie wylądujemy, tego nikt nie wie. Warszawa nie przyjmuje samolotów, Łódź nie nadaje się do nocnego lądowania, więc prawdopodobnie sładziem w Poznaniu lub Bydgoszczy. Niezależnie od tego w jakim mieście poczujemy pod stopami polską ziemię, jesteśmy pełni radości, że wracamy do domu. Jeszcze raz potwierdzam swoje głębokie przekonanie, że warto jest wyjeżdżać za granicę, aby przeżyć radość i przyjemność powrotu. Fantastyczna podróż kończy się. W ciągu trzech tygodni przebyliśmy ze Stanisławem samolotami, kolejami, samochodami ponad 25 000 km, a w ciągu osiemnastu godzin przenieśliśmy się z temperatury plus 40 stopni C do minus 5 stopni C. Radośniejszą zmianą klimatu dzieła rozkładająco i czuję się jak rozbity garnek.

Przymyśkam oczy i w pamięci odżywiają mi obrazy z intensywnie przeżytych dni. Oczy mam pełne oślepiającego blasku słońca, wyidealizowanych postaci ludzkich, wspaniałych dzieł sztuki.

Indie nie są krajem, do którego chciałoby się wrócić. Chyba tylko businessman lub cyniczny polityk może przemierzać bezkresne obszary Indii bez uczucia wstydu i gorczy. Jak można estetyzować, chłonąć piękno tego kraju, gdy widzi się szkielety snujące się po ulicach miast i grząskich drogach wiejskich? Jak można beztrzęsio w pokoju radzów w delhijskim hotelu „Imperial” spożywać najwyszukawsze potrawy i pić najlepsze trunki, gdy w tym samym czasie w Starym Delhi gęstość zaludnienia 3 000 mieszkańców na 1 km kw) układa ją się na ulicy do nocnego spoczynku ludzie tak biedni, że nie mają nawet strzępu płótna na okrycie swej nagości? Za to wszystko, co się dzieje w Indiach, są odpowiedzialni Europejczycy, chrześcijanie. I nie usprawiedliwiają kolonizatorów oskarżenia Kempanii Wschodnio-Indyjskiej w parlamencie angielskim w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, nie usprawiedliwiają niewątpliwie osiągnięcia Anglików, którzy dali Indiom organizację państwową, koleje, drogi i de facto umożliwili powstanie zjednoczonego państwa rozbitego w przeszłości na setki księstw i ksiąstewek.

Konkretny fakt jest taki, że do tej pory ludzie umierają tu z głodu, że stan oświaty jest niezwykle niski, że obrzydliwie bogactwa Indii służyły nikłej warstwie posiadaczy rodzimych i przede wszystkim eksploatatorom zagranicznym. Może jestem ignorantem, ale nie przypominam sobie, aby w przeszłości zarzwał głos potępiający kolonizatorów, choćby taki, jak Las Casasa

w odniesieniu do Indian Nowego Świata.

Pisałem już, że przeciętna wieku ludzkiego w Indiach wynosi 32 lata (USA i Anglia 62, Australia 65), ale nie pisałem, że sto milionów ludzi choruje na malarię, 200 milionów ma wyniszczającego ustroj pazożyty — tegoryjca dżunastnicy, półtora miliona umiera rocznie na gruźlicę, zaś w chwili obecnej milion dwieście tysięcy ludzi choruje na trąd. A czy wiecie, że tylko 39 proc. ludności tego kraju jest odżywione zaledwie dostatecznie, a 61 proc. źle lub bardzo źle? Że wskaźnik śmiertelności dzieci wynosi w Kalkucie 212, gdy w Londynie 48?

W tych konkretnych faktach leży wytłumaczenie niezrozumiałego dla

nie wystawiająca na próbę dumy narodowej tego kraju. Obraz ustawiania się Indii w polityce światowej byłby jednak jednostronny, jeżeli zapomnielibyśmy, że młoda Republika jest częścią składową Commonwealthu, a premier tego ogromnego kraju bierze udział w konferencjach szefów rządów państw składających się na Wspólnotę.

Niezależnie od obserwowanej w Indiach tendencji do pełnej i rzeczywistej niepodległości, należy przyznać, że Anglii jako ludzie cieszą się tu znacznym autorytetem. Eksploatacja białym kraju i kolonialny wyzysk był realizowany przez imperialistów brytyjskich w dużej mierze za pośrednictwem radzów, biurokracji złożonej z mieszanców anglo-indyjskich i zaprze-

cych w Indiach, oraz nazw ulic nawiązujących do tradycji brytyjskiego państwa. Nie wycofano nawet z obiegu bilonu z profilem ostatniego cesarza Indii, króla Jerzego VI. Niezależnie od spraw politycznych, wpływ kulturalny Anglii jest jeszcze olbrzymi, przede wszystkim dzięki językowi. Mimo długofalowego planu, który w końcu ma sprawić, że język hindu stanie się językiem państwowym, najpoważniejsza prasa i książki są drukowane po angielsku, wykłady na uniwersytetach są prowadzone w tym języku, angielski wreszcie umożliwia wzajemne porozumiewanie się między sobą mieszkańców różnych dzielnic kraju, w którym jest ponad 200 języków i niezliczona ilość dialektów.

na tragedii tego kraju. Właściwie z mojego nad wyraz niepogłębionego zetknięcia z problematyką religijną Indii, odniosłem wrażenie, że jedynie jainiści odczuwają potrzebę zajęcia się cierpiącym bliźnim. Ale jainistów jest tylko 0,45 proc. w całym kraju. Religia hinduska akceptowała podział kastowy społeczeństwa, który aczkolwiek formalnie zniesiony, odgrywa jednak niepoślednią rolę w życiu Indii, religia akceptowała setki lat trwające władanie obcych najeźdźców, religia akceptowała stan, w którym nędza narodu stała się najbardziej rzucającą w oczy cechą kraju.

Dlatego człowiek wierzący odczuwa nie tylko dumę z faktu, że prawda Boża różnymi drogami trafia do umysłów ludzkich, lecz rów-

niemal wszyscy są Hindusami. Obszar serwatory życia religijnego w Indiach twierdzą, że Kościół katolicki w Indiach jest pełen dynamiki i charakteryzuje się doskonałą organizacją. Katolicyzm nie tylko jako koncepcja życia pociąga neofitów, Sprawność organizacji kościelnej kontrastująca z chaosem panującym w Republice jest nadzwyczaj interesująca dla wielu Hindusów. Nie od rzeczy jest również przypomnienie, że Hindus po chrzcie św. traci swą przynależność kastową i przez fakt wejścia we wspólnotę Kościoła awansuje społecznie stając się bratem każdego katolika.

Nadzwyczaj interesujące są dane dotyczące intensywności życia religijnego przy przyjęciu kryterium częstotliwości Komunii św. Tak więc nie wybierając w alfabetycznym porządku:

archidiecezja Agra — na 15.041 wiernych — 102.331 Komunii św. w ciągu roku;

diecezja Ahmedabad — na 13.432 wiernych — 202.285 Komunii św. w ciągu roku;

diecezja Aimer — na 7.895 wiernych — 294.938 Komunii św. w ciągu roku;

diecezja Allahabad — na 4.522 wiernych — 74.331 Komunii św. w ciągu roku i tak dalej przez cały ciąg Catholic Directory.

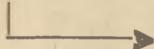
Wydaje się, że liczby te są imponujące i świadczą o znacznej gorliwości hinduskich katolików, zwłaszcza, jeżeli sobie przypomnimy na jak rozległych terenach rozrzucony są wierni i ile muszą pokonać trudności, aby przybyć do kościoła.

Młodzi księża hinduscy, z którymi rozmawialiśmy w Delhi, robią bardzo dodatnie wrażenie. Kochają gorąco Kościół i Indie, reprezentują wysoki poziom intelektualny. Bardzo krzepiący jest fakt, że w działalności swej uwzględniają konieczność wkładu katolików w przebudowę społeczną Indii. Wyrażają nawet pogląd, że od stopnia zaangażowania się chrześcijan w walkę o sprawiedliwość społeczną i utrzymanie niepodległej jednostki Republiki, zależy przyszłość misyjna Kościoła w Indiach. Niesposób jest tezie odmówić obiektywnej słuszności, pamiętając zwłaszcza o utracie przez Kościół klasy robotniczej w szeregu krajów chrześcijańskich na skutek spóźnionego zaangażowania się katolików w problematykę społeczną. Tylko że w wypadku Indii i innych państw azjatyckich nie chodzi o jedną klasę społeczną, lecz o setki milionów mieszkańców. Dlatego też w prywatnych dyskusjach z najwyższym niepokojem ocenialiśmy wyniki Wszehindyjskiej Konferencji Katolików Świeckich w Manili, która w deklaracji zamkniętej obrady ustosunkowała się do kolonializmu w formie pośredniej, określając komunizm jako większe niebezpieczeństwo od kolonializmu, a w zakresie społecznym ograniczyła się do zażyczenia „wolnych związków robotników i pracodawców mających na celu obronę praw robotników i stosowania nowego porządku ekonomicznego i społecznego w zgodności z zasadami chrześcijańskimi”. (Wg komunikatu Reutersa z dn. 9. XII. 55 r.). Ponieważ od 14 do 17 grudnia miała się odbyć w Nagpur konferencja Indyjskich Świeckich Katolików, jestem niezmiernie ciekawy, czy rozgorczenie hinduskich braci znalazło tam swój wyraz i czy zrealizowali dążenie do bardziej radykalnego i konkretnego postawienia zagadnień społecznych, zaś palących i wymagających tak zasadniczych rozwiązań w ich wielkim kraju. Mam nadzieję, że O. Justyn spełni swą obietnicę i prześle nam do Polski wyniki nagurskiej konferencji.

Rozważania na temat Indii przetrwały mi wejście do kabiny kapitana. Przyjemny blondyn, o jasnych, błękitnych oczach, miał twarz rozjaśnioną szerokim uśmiechem: „Poznę państwa, zbliżamy się do Zyrardowa. Mgła ustępuje, Warszawa zgodziła się nas przyjąć!” Przyjmujemy komunikat kapitana hucznymi oklaskami. Zbliżamy się do okien. W dole pełnie pociąg elektryczny, czerń nocy rozdziela światła podmiejskich osiedli. Po kilku minutach rozbłyskuje dziesiątkami tysięcy świetlnych punkcików Warszawa. Gdzieś z prawej strony zamiała niebo smuga reflektora warszawskiego portu lotniczego. Zapalają się światła ostrzegawcze wewnątrz kabiny, samolot jak zawsze zadziera ogon do góry i z włączonymi reflektorami spływa w kierunku betonowego pola startowego. Lądujemy z właściwą pilotom „Lotu” precyzją i rolujemy w kierunku jakże nawet w porównaniu z Pragą niekorzystnie wyglądającego baru.

Czy portowe ciemności kryją w sobie oczekujących nas bliskich?

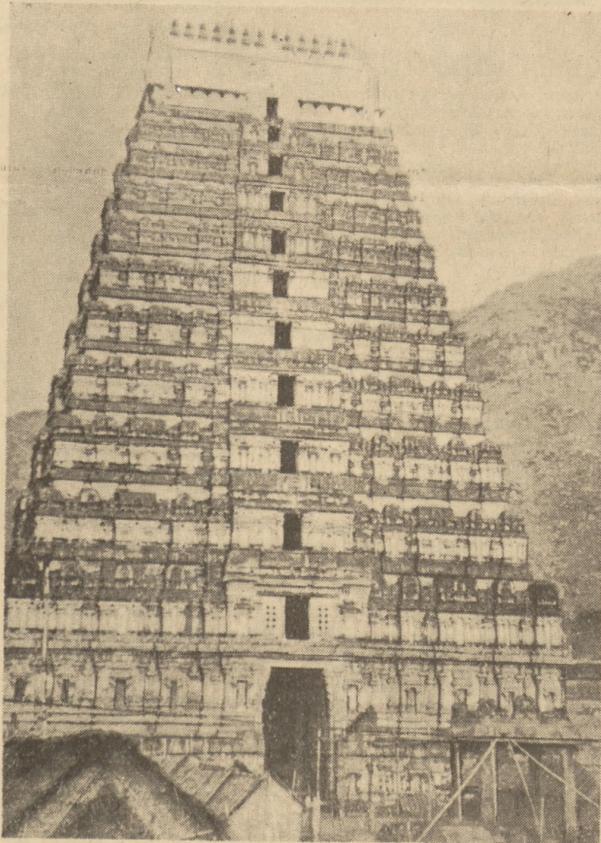
U wodopoju



Świątynia w Tiruvanmalai



Fot. W. Kwiatkowski



Anglosasów przyjęcia Pulganina i Chruszczowa przez lud indyjski. Jeżeli w drodze z lotniska w Kalkucie do City tłum zatrzymuje samochód wiozący gości i niesie go na ramiach kilka mil, to nie dlatego, że byli to komuniści, jak usiłowała tłumaczyć prasa amerykańska. Po prostu lud hinduski gnębiony przez tyśiąclecia najazdami, wyzyskiem, głodem i chorobami, ma metafizyczną wprost tęsknotę do sprawiedliwości społecznej. Dla przeciętnego Hindusa radziecki meżowie stanu uosabiali ideę walki o sprawiedliwość i niepodległość i to przekonanie sprowadzało setki tysięcy ludzi w sposób całkowicie spontaniczny, niezorganizowany, w celu ujrzenia choćby przez sekundę symbolu swych tęsknot. Warstwy oświecone były z kolei ujęte wystąpieniami Pulganina i Chruszczowa, żądającymi wprowadzenia Indii w życie polityczne świata jako szóstego mocarstwa, wypowiedzeniem się za przyłączeniem Goa i uznaniem Kaszmiru za część składową Indii. Jednocześnie prasa indyjska z aprobatą podkreślała dwustronność umów gospodarczych między Związkiem Radzieckim i Indiami, dająca nie tylko wzajemne rzeczywiste korzyści ekonomiczne, lecz również

danych Anglikom skorumpowanych Hindusów.

Zbyt powierzchowne są moje wrażenia, abym miał prawo oceniać narodowe cechy indyjskiego charakteru. Wydaje mi się natomiast, że zamiłowanie do biurokracji istotnie obciąża życie państwowe. Np. przez trzy tygodnie naszego pobytu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nie umiało się wypowiedzieć, czy mamy prawo pozostać w Indiach dłużej niż do 30 listopada i pobyt nasz do 15 grudnia był oparty na prawie kaduka, a właściwie na liście Dyrekcji Air India zatytułowanym „Do wszystkich, kogo to dotyczy”, stwierdzającym, że staramy się o przedłużenie permitu.

W ogólności Anglii są wypierani z indyjskiego życia. Co prawda Anglik jest jeszcze dowódcą floty, banki, koleje i część przemysłu znajdują się w rękach brytyjskich, ale konsekwentnie realizowana zasada wprowadzania fachowców hinduskich pozwala przyznać, że za kilka lat wpływ Anglików na wewnętrzne życie Indii będzie minimalny. O znaczeniu dla Wspólnoty może świadczyć zachowanie na placu Bombaju czy Delhi pomników angielskich meżów stanu działają-

Indie mają wszelkie możliwości, aby wejść do koncertu wielkich tego świata, jako szóste mocarstwo. Ogromny ten kraj o obszarze 1.269.640 mil kw. i liczący 357 milionów ludności, posiada wszelkie bogactwa naturalne, jakie można sobie wyobrazić i możliwości produkcji rolnej każdego klimatu. Zaniedbania na tym odcinku są olbrzymie. Ciężki przemysł zaczął się rozwijać dopiero w czasie II wojny światowej, system irygacyjny równie niezbedny jak krew dla człowieka, właściwie nie był przez Anglików rozbudowywany, z 512 milionów akrów ziemi 229 milionów leży odłogiem. Oczywiście zegadnienie rozwoju ekonomicznego jest niezwykle skomplikowane i możliwe do zrealizowania tylko w planie długofalowym. Przede wszystkim musi podnieść się nauczanie zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym. Co prawda szkoleniem podstawowym objęte jest przeszło 17 milionów dzieci, ale w uniwersytetach jest zaledwie 17 tysięcy studentów, w kolegiach 230 tys., a w szkołach zawodowych 730 tys. uczniów. W tych warunkach realizacja planów gospodarczych rękami Hindusów napotyka na poważne przeszkody.

Równie trudnym problemem jest kwestia religii. Indie są rzeczywiście krajem ludzi wierzących, krajem, w którym istotną treścią życia człowieka jest dążenie do Boga. Wrogość Hindusów do hitlerizmu była np. spowodowana programowym niszczeniem ludzi wiązujących i duchowości różnych religii w podobnych przez faszystów krajach. Jak mówił mi jeden z hinduskich meżów stanu, Indie nie zawierają sojuszu z wszelką ceną i synne pięć zasad koegzystencji zaproponowane przez Nehru, muszą być rozumiane również jako postulat wieloświatopogodowości całej ludzkości. Oczywiście tego rodzaju postawa narodu hinduskiego nie może nie być zauważana w polityce międzynarodowej.

Indie dla człowieka wierzącego są krajem urzekającym. Gdzież jest drugi kraj na świecie, w którym życie człowieka jest tak wyraźnie ustawione jako etap w drodze do Boga? Ile jest powodów do zdumienia, gdy spotyka się wychowanka Uniwersytetu w Cambridge, rozdającego majątek ubogim, zakładającego zgrzebną szatę i udającego się z żebrzącą miseczką na wędrowkę, której celem jest osiągnięcie prawdy? Ale religijna postawa Hindusów, to nie jest tylko tak bardzo chrześcijańska koncepcja Boga, jak ją formułuje Bhaskar czy Radhakrishnan, ale również kult świętej krowy i małpy, wynaturzające istotę dążenia do Boga praktyki „świętych”, którzy nie czynią dobra, czy wreszcie kultu falliczne. W sprzeczności filozoficznej prawdy teistycznej i praktyki religijnej przeważa prymitywna, a w dodatku antyspołeczna tkwi przyczyna

niez gorycz i zawstyżenie, uświadamiając sobie, jak bardzo tę prawdę może w praktyce doczesnej zafalszować ułomność człowieka. Jasną jest rzeczą, że obecne władanie krajem, potworny klimat, plagi chorobowe, brak przez stulecia jakiegokolwiek organizacji biedoty indyjskiej składają się na całokształt obrazu. Ale w obrazie tym najjaśnawszą barwę stanowi religia hindu, która postuluje wyzwolenie się z materii, a nie podporządkowanie jej człowiekowi. Przebudowa kraju, walka z głodem, chorobami i przedwczesną śmiertelnością tylko wtedy może liczyć na powodzenie, gdy religijni przywódcy narodu zrozumieją to zagażnienie, które ma nie tylko aspekt filozoficzny czy teologiczny, ale bardzo praktyczny, wnioskujący w tak konkretne ludzkie sprawy, jak oparty na przesłankach religijnych zupełnie absurdalny sposób odżywiania się.

Zastanawiający jest fakt, że przy tak niejednokrotnie bliskich koncepcjach Boga filozofii indyjskiej i chrześcijańskiej, kraj, w którym apostoł Kościoła rozpoczął ucieczkę w Madrasie św. Tomasz Apostoł, liczy zaledwie 9.300.000 chrześcijan, w tym 4,5 miliona katolików. Co prawda największe nasilenie akcji misyjnej rozpoczęło się od XVI w., gdy chrześcijaństwo było niesione do Indii przez europejskich kolonizatorów, kupców zaś Kampanii Wschodnio-Indyjskiej na pewno bardziej interesowało niż Chrystus. Bardzo poważnym czynnikiem hamującym rozwój chrześcijaństwa był również brak zgody Kościoła na palenie zwłok. Niemniej jednak istota zagadnienia polega chyba na tym, że Hindusi oburzają wagę przywiązują do zgody Kościoła na palenie zwłok. Niemniej jednak istota zagadnienia polega chyba na tym, że Hindusi oburzają wagę przywiązują do zgody Kościoła na palenie zwłok. Niemniej jednak istota zagadnienia polega chyba na tym, że Hindusi oburzają wagę przywiązują do zgody Kościoła na palenie zwłok.

Obecnie Kościół katolicki posiada w Indiach 49 diecezji (najstarsza erygowana w r. 1553 w Goa, najmłodsza — Tanjore w r. 1953) i ponad 70 biskupów. Głową Hierarchii jest kardynał Gracias, rezydujący w Bombaju. Wśród duchowieństwa hinduskiego często powtarzają się nazwiska o brzmieniu portugalskim. Przyczyną tego jest ich pochodzenie z terenu Goa, gdzie istniał obyczaj przybierania przy chrzcie św. nazwiska ojca chrzestnego. W Delhi we wspaniałym pałacu Internuntiatyury urzęduje przedstawiciel Stolicy Apostolskiej ks. biskup Lucas, którego jednym z poprzedników był Polak, ks. biskup Zaleski.

Kościół katolicki na terenie Indii od dość dawna wszedł na drogę wychowywania kleru rodzimego. Dziesiątki księży corocznie wyjeżdżają do Rzymu, aby pogłębić swe studia, niemal wszyscy biskupi są białymi słuchającymi rzymskich uczelni i

Przeciw
uproszczeniom

EKSPRESS", pismo radykalów Mendes-France'a, zamieszcili w jednym z grudiowych numerów rysunek przedstawiający trzech atlantyckich wojowników — Amerykanina, Anglika i Francuza, którzy ze zdumieniem przyglądają się żołnierzowi radzieckiemu, robiącemu na drutach. Podpis głosi: „Czy mamy uważać to za wyzwanie?”

Bardzo mi się ta karykatura podobała. Trafia ona bowiem w sedno nowego typu rywalizacji między dwoma obozami, która rozpoczęła się w roku 1955 i — jestem przekonany — stanowić będzie leit-motiw polityki światowej przez długi czas.

Spotkanie w Genewie doprowadziło do publicznego stwierdzenia, że wojna termojądrowa — lub silniejsza nią — nie może być środkiem rozstrzygającym walkę. Oznaczało to, że polityka z pozycji siły, konkretyzowana w sojuszach militarnych, traci rację bytu. Oznaczało to zarazem, iż polityka międzynarodowa — a pod tym terminem rozumiemy dziś właściwie rywalizację między dwoma obozami — musi kierować się kryteriami gospodarczymi, a nie militarnymi; innymi słowy, miejsce wyższej zbrodni mającej powagę polityczną — konflikt zbrojny, powinna zająć rywalizacja gospodarcza, perspektywą której jest pokojowe współzawodnictwo.

Przez lata przywykło się uważać stosunek sił Wschodu i Zachodu licząc dywizje, czołgi, samoloty i okręty wojenne, że to zjawisko „nie do wiary” można całkiem prosto uzasadnić.

Złudzenia są podobne radością życia. Jeśli tak jest, to w każdym razie politycy stanowią wyjątek. Dwa wielkie złudzenia rządzący państwami mózgow stan USA w okresie powojennym. Jedno, iż Związek Radziecki jest w sposób wielokrotnie słabszy od mocarstw zachodnich. Zrodziła się z niego fatalna dla nich seryjna polityka siły i koncepcje masowego odwetu. Drugim złudzeniem było niedooceniwanie siły gospodarczej ZSRR, tego jakoby „kolosa na glinianych nogach”. Długo wierzone w to określenie. Efekt również żalony. Dzisiaj prasa amerykańska bije na alarm. „Byłoby wielkim błędem sądzić, że Związek Radziecki nie jest na tyle bogaty, by nie móc dobrać czyichś takich rządzących kapitału, jeżeli mogą wymagać jego plany” pisze realista Lippman. „Richardson w „Gazette and Daily” wtrąca mi — „Rosja sowiecka bogata jak Krezus, jeśli nie jak Stany Zjednoczone, przekształciła zimą wojnę w wojnę złota. Jeszcze wiosną 1955 Maszynogon przeprowadził niesukcesywną bankrutstwo sowieckiego reżimu, a tymczasem Rosjanie szykowali swe rezerwy złota, aby podjąć największą ofensywę gospodarczą w konflikcie między Wschodem a Zachodem. W Londynie ocenia się, że w tym roku Rosja wydobędzie 10 miliardów dolarów. Roczne wydobycie złota z niemal 100 kopalń syberyjskich jest prawie tak duże, jak całkowite roczne wydobycie w Afryce Południowej”. Złudzenie, jak widać, przynęło. Przynęło pod naporem faktów. Wynotujemy przykładowo niektóre z nich.

Afganistan. Od roku 1951 ZSRR zbudował tam sieć magazynów paliw płynnych, młyny elektryczne, wielkie zakłady piekarnicze. Łączna wartość inwestycji dochodzi do 3,5 miliona dolarów. Pięcioletni układ handlowy przewiduje wymianę skór, wełny i owoców na radzieckie paliwo płynne.

Indie. Układ z 2 lutego 1955 przewiduje budowę stalowni o wydajności 1 miliona ton, a po wzięciu przywódców radzieckich przewiduje się rozszerzenie dostaw maszyn i pomocy technicznej, oraz współpracę w dziedzinie atomowej. Niezależnie od tego Indie zawarły umowy handlowe z innymi krajami obozu socjalizmu — Polską, Czechosłowacją, Bułgarią, Rumunią, Węgrami i NRD.

Egipt. Umowy handlowe z ZSRR, Chinami Ludowymi, Czechosłowacją i NRD, przewidują wymianę egipskiego ryżu i bawełny na urządzenia wytwórcze i inwestycje przemysłowe.

Kanada. Ten kraj, położony tak blisko USA importuje dzisiaj znaczne ilości pojazdów czechosłowackich.

Brazylia. Handel z krajami naszego obozu podwoił się w ubiegłym roku. Ita. Ita.

A obok tych przykładów warto zarejestrować jeszcze jeden — w ubiegłym roku państwa socjalistycz-

ne wystawiały swe towary na przeszło 60 targach.

Obecnie, gdy umowy te są wykonywane, nikt już na Zachodzie nie mówi o bluffie, o obietnicach ponad siły. Moc ekonomiczna ZSRR została uznana. Czy jednak my z kolei moglibyśmy powiedzieć, że przewaga radziecka w rywalizacji gospodarczej polega po prostu na jego przewadze produkcyjnej nad mocarstwami kapitalistycznymi? Twierdzić takie nie odpowiadałoby prawdzie. Pamiętajmy, że nowy plan pięcioletni ZSRR przewiduje właśnie dogonienie i pociągnięcie czołowych krajów kapitalistycznych. A więc dzisiaj jeszcze nie ten czynnik określa sukcesy ZSRR. Dzisiaj przewaga opiera się nie na wyższości potencjału gospodarczego, ale na sposobie, w jakim potencjału tego używa się w stosunku do zagranicy.

Kilka tygodni temu ogłoszono prawie równocześnie projekt nowego planu 5-letniego i projekt budżetu USA. Komentarze prasy zachodniej starały się wyciągnąć z obu momenty najistotniejsze i zarazem najbardziej charakterystyczne. W planie radzieckim podkreślili więc „1. Podniesienie produkcji przemysłowej o 65% wraz z przeprowadzeniem szybkiej automatyzacji procesów produkcyjnych na szeroką skalę. 2. Rozwój energii atomowej

Wydaje mi się, że w tej podstawowej różnicy tkwi zarazem podstawowa słabość pozycji Zachodu

Bank nie przyznaje nigdy kredytów, jeżeli nie otrzyma gwarancji określonych korzyści dla przemysłu i handlu Stanów Zjednoczonych. Organizacje międzynarodowe wreszcie — szczególnie Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju — zniechęcają do korzystania z ich usług przez zbyt długie terminy, zawilg procedurę, żądania specjalnych gwarancji i małe zasoby finansowe.

Jakież natomiast formy przybijają stosunki handlowe między ZSRR a tymi krajami? Po pierwsze, nie jałmużna a prawdziwe układy handlowe, otwierające dla kontrahenta radzieckie rynki zbytu, o czym nie ma mowy w stosunkach z USA. Po drugie, ZSRR oferuje dostawy towarów naprawdę potrzebnych tym krajom; pamiętamy sławne szczytówki do zębów, eksportowane przez Amerykę w ramach pomocy dla Sjamu. Po trzecie, kredyty są długoterminowe i oprocentowane bardzo nisko (2—2,5%), a płatności na ogół realizowane są w towarach. Po czwarte w końcu, ZSRR oferuje na wielką skalę pomoc naukową i techniczną, która dla krajów zacofanych jest bardziej cenna niż dary.

Prasa zachodnia pełna jest w ostatnich czasach głosów ostrzegawczych, wzywających do radykalnej

zmiany polityki wobec zagranicy. Wspomniany na początku Porter z „New York Post” pisze — „Moglibyśmy czterokrotnie zwiększyć wydatki na pomoc dla zagranicy, a mimo to łatwo przegrać nową rundę zimnej wojny. W tej najnowszej fazie walki między USA a Rosją, w której dominują aspekty ekonomiczne i polityczne, usuwając na dalszy plan aspekty wojskowe, potrzebne są zarówno miliony dolarów, jak i mózgi. W chwili obecnej istnieją zastraszające czynniki tego, iż zbyt wiele uwagi poświęcamy pierwszemu, a zbyt mało drugiemu”.

Możemy współczuć Porterowi, Lippmanowi i wielu innym realnie patrzącym publicystom, że rząd ich nie potrafi zrozumieć sprawy tak oczywistej, jak bezsens prowadzenia dziś polityki, opartej o koncepcję bloków militarnych i „pomocy” wojskowej, której żaden obdarowany kraj już nie pragnie.

A niestety ostatnie wypowiedzi czołowych mężów stanu — częściej budżetowe Eisenhowera i żaskokujące niezręczny wywiad Dullesa w „Life” — wskazują, że daleko im jeszcze do tego rozeznania. No, cóż kraje zacofane gospodarczo niewiele na tym tracą, ale same Stany Zjednoczone stracić mogą bardzo dużo; tyle, ile traci się, przechodząc z defensywy do odwrotu.

Zachód trzema kanałami wchodzi w stosunki gospodarcze z krajami zacofanymi — poprzez towarzystwa, prywatne, rządy i instytucje międzynarodowe. Firmy prywatne mają oczywiście jeden cel — maksymalny zysk, realizowany najczęściej poprzez eksploatację pół naftowych lub kopalń. Nie trzeba wyjaśniać, że nadawane im koncesje nie są nigdy korzystne dla kraju, który ich udziela. Rządy mogą sobie pozwolić na znacznie większe zróżnicowanie form, jednakże każda forma pomocy związana jest z ingerencją. Tak np. wsparcie ze strony USA przejawia się przede wszystkim w postaci pomocy wojskowej, a Export-Import

— poprawne...“ Doprawdy, mało mamy poważnych krytyków poezji.

Czego byśmy najbardziej życzyli młodym (oprócz dojrzałości artystycznej): gorącej ideowości, potrzeby na świat bez zadymionych okularów, widzenia go we wszystkich jego kolorach. Ale — aby się to stało, trzeba im dać miejsce w tym świecie, pozwolić im ujrzeć czyste „niebo w promieniach” — niech się sami po ogień! — a przede wszystkim pokochać „małych poetów”, pomóc im, aby się stali — więksi.

Poprzez skojarzenie przypomnia mi się fragment wiersza Sliwoniuka: *Zobaczyłaś, że zieleni jest gołśna jak muzyka a szarość przepojona blaskiem bo kolory świata przychodzą do ciu twoich przez jego mi ł o ś ć.*

Wtedy tylko może powstawać z y w a p o e z j a, poezja, która wie, czego chce, i wie, do czego dąży. Wtedy nie będzie szarych, smutnych fotografii, ani fałszywych kolorów hurra- optymizmu, nie będzie p o z o r n e j prawdy światła.

Zbigniew Dolecki

Maszyny
zamiast armat

Janusz Stefanowicz

wobec ZSRR w stosunkach gospodarczych z krajami słabo rozwiniętymi. Wiązać bowiem pomoc gospodarczą z żądaniami politycznymi, USA doprowadziły do odrzucenia jej przez kraje, uznające politykę nie wiązania się z blokami — przez Indie, Bułgę, Egipt, żeby wymienić najważniejsze.

Nie tylko jednak momenty polityczne działają tutaj na korzyść krajów naszego obozu. Dołączają się do nich czynniki czysto ekonomiczne, których wagi nie można nie doceniać.

Zachód trzema kanałami wchodzi w stosunki gospodarcze z krajami zacofanymi — poprzez towarzystwa, prywatne, rządy i instytucje międzynarodowe. Firmy prywatne mają oczywiście jeden cel — maksymalny zysk, realizowany najczęściej poprzez eksploatację pół naftowych lub kopalń. Nie trzeba wyjaśniać, że nadawane im koncesje nie są nigdy korzystne dla kraju, który ich udziela. Rządy mogą sobie pozwolić na znacznie większe zróżnicowanie form, jednakże każda forma pomocy związana jest z ingerencją. Tak np. wsparcie ze strony USA przejawia się przede wszystkim w postaci pomocy wojskowej, a Export-Import

Mali poeci mogą wyrosnąć

(Dokończenie ze str. 8)

Bywają tacy, których bardziej zajmuje stosowanie w życiu stylu „cyganeria” niż własna twórczość. Dostępnym często zauważyć można wśród młodych lekkomyślność, brak odpowiedzialności, lekceważenie pracy. Bardzo charakterystyczny jest np. stosunek do lektury. Czytać dużo, planowo „nie warto”. Tylko to, o czym się posłyszeli od kogoś, że „trzeba to znać” ze względów... prestiżowych. („Jak to, nie znasz Huxleya?”)

Są też młodzi „olimpijczyści”, mędrcy, którzy na wszystko patrzą z wyniosłą „pogardą”. Wczesny profesjonalizm uczynił z nich żywe posągi szukające tylko postumentu. Można by dalej ciągnąć litanie grzechów — ale nie warto. To są wszystkie „dziecięce choroby”. Uleczalne. Leczyć?

Niektóre z tych „chorób” uleczy samo życie. Czas dokona surowej eliminacji. Ci, którzy pragną tylko „zostać poetami” — odpadną.

ABY URZELI KOLORY ŚWIATA...

MŁODZI poeci (naważający się za „małych” — czy też nie) wolają o pomoc. Pragną, aby ich poznano. Pragną poznać się wzajemnie. Pragną, żeby „coś się działo”. Żeby poezji poświęcano przynajmniej tyle

uwagi, ile np., poświęca się „sportowi narciarskiemu”.

Potrzebne jest pismo poetyckie, o którym tak dawno już się mówi. Potrzebne są Kluby Poezji — bez sztywności, bez „organizacyjności” Kół Młodych. Potrzebne są Estrady Poetyckie (rozczarowały reklamowe wieczory poezji Stowarzyszenia Księgarzy). Rozczarowały wszystkie tego rodzaju imprezy: widzimy tylko znane, „firmowe” nazwiska. Dla młodych miejsca nie ma.

Warto się zastanowić nad przykładem małej Belgii, w której istnieje tzw. „Dom Poetów”, posiadający własne wydawnictwo, wydający własne pismo...

No, nie zapędzajmy się zbyt daleko. Ale jedno jest pewne: trzeba nie tylko mówić o poezji — choć i to wiele — ale też myśleć o jej kadrach. Zadać (zarówno w sensie moralnym, jak i materialnym) o najmłodsze pokolenie poetyckie, dać mu możliwość pełnego rozwoju.

Potrzebna jest pomoc w nowych formach. Jeśli chodzi o sprawy materialne, nie wiem, czy najlepszym rozwiązaniem jest (z pewnością: tak — w odniesieniu do młodzieży studiującej) utworzenie Funduszy Stypendialnych, w rodzaju niedawno powstałego. Korzystanie z tego

rodzaju stypendiów tworzy poczucie zależności: „trzeba się jakoś wyplacić”.

Czy nie można by pomyśleć o innych formach pomocy? Aktywizując np. młodych poetów do pracy kulturalnej? Oczywiście, nie angażując ich jako świętobliwych czy etatowych prelegentów. Można by pomyśleć o współpracy z młodzieżą teatralną, muzyczną... o nowych formach imprez rozrywkowych...

Mogłyby tu znaleźć ujście: dynamika, zapal, zdolność zapoetyckie młodych. Ale na razie trwa niestety błogi sen i umywanie rąk.

Potrzebna jest pomoc moralna: wciąganie „samotników” chodzących własnymi drogami, na których często łamią sobie nogi — do życia społecznego. Potrzebna jest twórcza pomoc, a nie protekcyjna zachęta: „bierz przykład z nas, a kiedyś...”

W poradach udzielanych przez „mistrzów” — młodym, zauważyć można często brak szczerości, „wymijanie” czasem — dwulicowość.

Mając przed sobą wiersze młodego, początkującego poety — nie wolno krzywić twarzy w grzesznościowym uśmiechu i (śmiejąc się w duchu) mówić: „To jeszcze nie to, co być powinno, ale poprawne, owszem

— poprawne...” Doprawdy, mało mamy poważnych krytyków poezji.

Czy nie można by pomyśleć o innych formach pomocy? Aktywizując np. młodych poetów do pracy kulturalnej? Oczywiście, nie angażując ich jako świętobliwych czy etatowych prelegentów. Można by pomyśleć o współpracy z młodzieżą teatralną, muzyczną... o nowych formach imprez rozrywkowych...

Mogłyby tu znaleźć ujście: dynamika, zapal, zdolność zapoetyckie młodych. Ale na razie trwa niestety błogi sen i umywanie rąk.

Potrzebna jest pomoc moralna: wciąganie „samotników” chodzących własnymi drogami, na których często łamią sobie nogi — do życia społecznego. Potrzebna jest twórcza pomoc, a nie protekcyjna zachęta: „bierz przykład z nas, a kiedyś...”

W poradach udzielanych przez „mistrzów” — młodym, zauważyć można często brak szczerości, „wymijanie” czasem — dwulicowość.

Mając przed sobą wiersze młodego, początkującego poety — nie wolno krzywić twarzy w grzesznościowym uśmiechu i (śmiejąc się w duchu) mówić: „To jeszcze nie to, co być powinno, ale poprawne, owszem

KATOLICKA etyka, a więc również i moralność stanowią uzależnioną zbitkę słów, a nie, aby je można by, o nawiąże teologicznie omówić w ramach zwykłego artykułu. Jednak w taki właśnie sposób podjął ten problem recenzja „Po prostu” w artykule tegoż współpisanika Andrzeja Małewskiego pt. „Moralność pokory i moralność buntu” („Po prostu”, nr 1533 z 1 stycznia 1956 r.), a następnie sprostowano tytuł na: „O niełatwym problemie moralności socjalistycznej”.

Można by odstąpić p. Małewskiego, zaliczając spis ośnośnej literatury, do opracowań naukowych, które w „Po prostu” mu wiele zaganić. Niewątpliwie wyszłyby to anoty na obojętne, ponieważ jego znajomość katolicyzmu jest, niestety, ograniczona, bardzo skromna. Mimo to pozwolę sobie sprostować te sformułowania, które w ujęciu p. Małewskiego wywołują mi się szczególnie nieprzyjemne ustawione.

Amplifikacja autora wyżej wspomnianego artykułu było przeprowadzenie analizy, a następnie porównanie moralności katolickiej z moralnością ateistyczną jako systemów, wynikających z dwóch odrębnych światopoglądów. Takie było lub być powinno założenie, z którym p. Małewski przystąpił do planu swego artykułu. Założenie to pozostało jednak nie zrealizowane.

Autorem, próbując przeciwstawić sobie dwa wspomniane systemy moralne, operuje nader obficie przykładami. Już sam przez się fakt ten budzi wiele zastrzeżeń. Po pierwsze bowiem przykłada do rangi argumentu stanowią błąd w każdej dyskusji, szczególnie zaś błąd, jeżeli się nie sąskawo w rozważaniu zagadnień dotyczących moralności. Sama bowiem natura ludzka, bez względu na światopogląd człowieka i jego wyznanie, zojma jest dostarczyć przykładów dosłownie na wycisk. Czy ma to jednak coś wspólnego z chwytliwym lub potępiąnym systemem? Wątpię. Sposób, którym szerzy p. Małewski, nikt nie jest zdolny przekonać. Przygoda się on może najwyżej do ilustracji czy wyjaśnienia jakiejś wcześniej postawionej tezy.

Chcąc przeciwstawić sobie dwie omawiane moralności autor ucieka się do metody cytowania przypadków postępowania niemoralnego, przypiełając na nich — nie wiadomo dlaczego — etykietkę „katolicki”. Wskutek takiego zabiegu artykuł zmienił swój charakter i zamiast porównawczy systemy zajął się porównywaniem postępowania uciwczego z nieuczciwym. Gdyby zaś zgodnie z domniemanymi intencjami p. Małewskiego, które zdają się wynikać ze stosowanych przezeń chwytów, założycie, że moralność katolicka sugeruje postępowanie etyczne negatywne — musimy zadać sobie pytanie, nad czym właściwie mamy dyskusować? Nad tym, czy tolerować nieuczciwość?

Pomimo jednak niefortunnego wrażeń, jakie wywołują cytowane przez autora przykłady, można przypuszczać, że ciałko na moralność katolicką jako system „uczciwy”. Wynika z tego, że ostateczna dyskusja ma się toczyć nad sprawą przewagi moralności ateistycznej nad katolicką.

Przewaga ta ma wynikać z faktu, że katolicyzm nie stawia, rzekomo, spójnego, wyznaczonego żądań natury społecznej, ograniczając się jedynie do „dobrych uczynków” w gronie najbliższych znajomych i rodziny.

Zapomniał p. Małewski, że dla katolika najważniejszym, w porządku doczesnym, dobrem jest człowiek. Trochę o niego dotyczy tylko strony materialnej życia, ale również i tego, co katolicy nazywają stroną duchową. Wszystkimi dostępnymi sobie środkami Kościół stara się rozwinąć w człowieku szlachetność, bezinteresowność i wrażliwość na niedole bliźnich, a wyciępić egoizm i pychę. Czy naprawdę p. Małewski sądzi, że katolicyzm, mając oparcie w najważniejszym dla niego nakazie miłości bliźniego, może pogrubić obójnie obok spraw tak ważnych, jak krzywda ludzka i niesprawiedliwość społeczna?

Problemy etyki stanowią w omawianym artykule zagadnienia występujące może wyrazniej niż inne. Chceć i na nie odpowiedzieć. Zarówno w przykładach, jak i sformułowaniach autora zjawiskiem znużającym jest najbardziej w oczy jest czynność, to znaczy w tym wypadku dążenie do takiego układu stosunków, w którym „dobry” osobiste osiągnięty jest największe gwarantuje. Taki stan rzeczy jest niewątpliwie podstawą swobody seksualnej. Ale gdzie w rozważaniach p. Małewskiego znalazł się miejsce na miłość, pojętą w sensie przekładania dobra osoby Kochanej nad swoje własne? Przy szukaniu wyłącznie szczęścia osobistego jakże łatwo jest zlekceważyć uczucie partnera, lub pominąć dobro mającego się urodzić potomstwa. A jakże w tym nasświetleniu będzie wyglądał problem trwałości małżeństwa? To zagadnienie bardzo doniosłe nie tylko dla katolików i nie tylko dlatego, że ma ono dla nas wagę sakramentu. Społeczne znaczenie małżeństwa jest naszym wspólnym problemem. Wego chyba nie trzeba wyjaśniać. Ten aspekt jednak nie wyczerpuje oczywiście zagadnienia stosunków między dwiema ludźmi. Jest to sprawa ogromnej wagi i mimo ciągłych nad nią dyskusji posiada wciąż jeszcze mnóstwo momentów niewyjaśnionych. Nie mieści się w ramach mojej odpowiedzi omawianie i tych kwestii. Ograniczę się jedynie do stwierdzenia, że nie jest brakiem rozsądku stawianie bezwzględnie nakazu nierozdzielności małżeństwa, jak i stosunków seksualnych poza małżeństwem, jak chce tego autor. Małżeństwo stanowi bono dla współżycia, jak i wychowania potomstwa.

Wydaje mi się, że autor omawianego artykułu widzi w katolicyzmie głównie zespół zakazów. To jeszcze nie katolicyzm. Pan Małewski odrzuca Nowy Testament i rozpoczyna dyskusję z jakąż stworzoną przez siebie interpretacją nauki Kościoła. Wskutek tego artykuł staje się bezprzemysłowym, a z tytułem przestaje odpowiadać swoim założeniom. Na miejsce atakowanego przez siebie rzekomego katolicyzmu, p. Małewski wprowadza nawiązanie interpretowania katechizmu i z całą żądajnością rozpoczyna z nim walkę. Czy w tych warunkach, prozę mi to wyrażenie wybaczyć, pojedyncy ten nie przypomina słynnej walki z wiatrakami?

Ogólne sformułowania p. Małewskiego dotyczące postulowanej moralności pozostały, niestety, dość pobieżne. W artykule swoim poruszył on bowiem jedynie zagadnienie stosunku jednostki do państwa. A przecież to tylko jedna strona życia, która nie może wyczerpywać całego problemu.

Dotychczas poruszałem te kwestie ogólne, które w artykule wydały mi się

nieważne ustawione. Obecnie chcę przejść do tych zagadnień szczególnie ważnych, które, moim zdaniem, najbardziej zasługują na pewne wyjaśnienia.

Artykuł rozpoczyna się wyrażeniem dezaprobaty dla treści i metod wychowania katolickiego. Je autor nie zgadza się z treścią, to sprawa — na nie całego artykułu — oczywista. Dłuższe jest natomiast, że pojęcia i metody System wychowania stosowany przez katolicyzm nie odbiega od metod wychowawczych przyjętych przez inne religie czy ideologie, pragnące wychować społeczeństwo w jakimś obranym przez siebie kierunku. Miano obywatela wychowania tej sprawy w artykule, autor nie czyni tego. Polemizuje jedynie z treścią wychowania religijnego nie traktując na ogół zagadnienia metody, którą zakwestionował.

Nieco dalej rzuca się w oczy błąd znacznie grubszy. Autor utożsamia moralność katolicką z moralnością burżuazyjną, wyznającą zasady: „człowiek człowiekowi wrogiem” i „upadającego kopnij”. Takie identyfikowanie moralności katolickiej z praktyką społeczno-polityczną burżuazji nowoczesnej może, albo braku uczciwości polemicznej u autora, czego nie skłamam, lub też niezrozumienia pojęcia katolickiej doktryny, co znajduje potwierdzenie w wielu fragmentach artykułu.

Autorem wymieniając wszystkie znane sobie wartości, cenę dla życia społeczne, zapomina — choć wierzycie, nieumyślnie — że znaczna część tych wartości charakterystyczne również moralność katolicką. Moralność postulowana przez autora jest w artykule rozpatrywana w kategoriach wyłącznie klasowych i z punktu widzenia jej związków z celami społeczno-politycznymi. Pozwala to na pominięcie cechy, tak barzo typowej dla moralności katolickiej jak jej ponadklasowości i uniwersalności.

Pewne niejasności powoduje nieco dziwna terminologia, używana przez autora. Posługuje się on mianowicie określeniem: moralność świecka. Co przez to należy rozumieć? Czy właściwym terminem nie byłoby tu: moralność ateistyczna? Przeciwnie stawianie moralności świeckiej stanowiłoby moralność duchowna, uprawiana przez duchownych. Sądzę, że artykuł zakłada raczej rozważanie moralności szerokiej, rzecz katolickiej a nie wyłącznie klasu.

Modlitwy, posty i chodzenie do kościoła autor wyłącza z obowiązków moralnych odnosząc je wyłącznie do kwestii teologicznych. Oczywiście, mają one swój aspekt teologiczny, ale ta strona zagadnienia nie mieści się w ramach prowadzonej dyskusji. Dla katolika jednak są one także problemami moralnymi. Pan Małewski łączy je z pozycji „moralności świeckiej”. Znowu nieporozumienie terminologiczne, o którym pisałem poprzednio. Praktyki religijne można łączyć tylko z punktu widzenia „świeckiej”, który to termin stwierdza wyłącznie, że obowiązują ona ludzi świeckich.

Z artykułu wynika, że nakazami moralnymi są tylko te, które normują nasze stosunki względem innych ludzi. Ślusznie. Ale, niestety, nie wystarczające. Jakże byłaby wówczas racja tych obowiązków i ich uzasadnienie? Obowiązek dla obywatela staje się suchą i trudną do dawanu, jak i przyswajaniu świadczym wynikającym z powszechnego ujęcia. Nie wiem doprawdy, na czym w tym wypadku polegałaby moralność katolickiej, która zakłada spełnianie obowiązków z miłości do bliźniego?

Na zakończenie chciałbym napisać parę słów o propozycji autora na pokorne zniechęcenie krzywdy przez katolików. Zjawisko to jest z pewnością sprzeczne z dążeniami rewolucyjnymi. Pozwalać sobie wyrażać, że cierpliwie znośnie ciósów życiowych nie dotyczy najbardziej kwestii związanych ze sprawiedliwością społeczną, a zakłada jedynie wyrobienie w sobie swym miejsca i haru. Postulat katolickiego ulepszenia świata wykorzystuje dla swoich celów również i drugie doskonałości wewnętrznej jednostki. Ulepszenie społeczeństwa i ulepszenie jednostki to ten sam problem, tylko w różnej skali. Nie widzę zresztą, czemu samooskonalenie się miałyby stanowić wyłączną cechą moralnego katolika.

Uwagi powyższe nie miały na celu wyzerpnięcia poruszonego przez p. Małewskiego tematu. Są one jedynie refleksjami, które nasunął mi się podpisaniu omawianego artykułu.

Andrzej Małewski
Sopot



NOWOSCI I WNOWENIA

SW AUGUSTYN
Wyznawca
str. 379, opr. płocienna, wyd. II
cena 21 35.-

GILBERT CESBRON
Bezdomne psy
str. 279, opr. płocienna cena 21 28.-

A. J. CRONIN
Kłucze królestwa
str. 354, wyd. II cena 21 30.-

Wyciła Biuro Sprzedaży „Pax”
Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W-wa I-14-24521 Sp. Wyd. „Pax” — Instytut Wydawniczy „Pax” Warszawa. Przy woliach na PKO prosimy dopisać 21 3. — na koszt przesyłki.
Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu”.

DZIS I JUTRO

MALI POECI MOGĄ WYROSNĄĆ

KIJ W MROWISKU

ARTYKUŁ K. T. Toeplitza o najmłodszej poezji („Nasze pieszczochy”, „Nowa Kultura” nr 1/56) wzbudził wiele umysłów. Oczywiście, przede wszystkim wywołał wrzenie wśród młodych adeptów sztuki poetyckiej. Zdania są różne, reakcje rozbieżne, ale nikt nie przyjął przedstawionych w nim tez i uwag obojętnie. Artykuł budzi taki czy inny, ale zawsze silny odźwięk. Najbardziej bowiem pobudzającą działaniem mówienia w r a d y i niemiłej lub... p o z o r n e j. Gdyby pamflet Toeplitza zawierał tylko fałszywe sądy ignorantów, jak chcą niektórzy — dotknięci do życia — adwersarze Toeplitza, wtedy nikomu by się nie chciało nic na ten temat mówić. „Nasze pieszczochy” prowokują właśnie dlatego, że obok twierdzeń trafnych, zawierają sądy drażniące swą pozorną prawdziwością. Oby stały się przysłowiem kijem włożonym w mrowisko!

W mrowisku tym krzątają się, pracują, wędrują licznymi korytarzami mrówki: mijają się, szukają nowych ścieżek. Mało kto jednak o tym wie. Czasem ktoś przyjdzie, przykucnie, poobserwuje. Dostrzeże kilka mrówek, napisze: ta pracuje dobrze, inna zbyt długo przegląda się w kropki rosy, jeszcze inna usiłuje podźwignąć zbyt wielki dla siebie ciężar... I to wystarczy. Skoro krytyków i tych poetów, którzy odbyli już swój wjazd w bramę literatury, nie stać na nic więcej niż protekcyjne klepanie po ramieniu, pobłażliwe, pieszczotliwe gładzenie „po głowinach” stojących przed bramą zaków, niechże przemówią oni sami. Dać im głos! Może wtedy dowiemy się rzeczy dotąd nieznanych.

Nie zamierzam polemizować z K. T. Toeplitzem. Pragnę tylko podzielić się paroma uwagami, jakie nasunęły mi się w związku z lekturą jego artykułu. Nie waży się pisać o wszystkich sprawach młodej poezji tam poruszonych. Chciałbym tylko zająć się paroma problemami, które (m. in.) „leżą na linii” rozważań autora „Naszych pieszczochów”.

W skróceniu kilku słów o najmłodszym pokoleniu poetyckim pomocą mi będzie pewna znajomość środowiska, lektura wielu wierszy — przede wszystkim tych nie drukowanych — oraz osobiste kontakty, a więc: spotkania, dyskusje, kłótnie...

POPRAWKI DO PAMFLETU

NA wstępie — sprawa wchodzenia do literatury. Nie ma i nie może tu być żadnych reguł. Można wchodzić „z szumem, watak w bębny i dmąc w fanfary” — tak jak to czyniły starsze pokolenia, można inaczej: cicho i dyskretnie. Nie o to chodzi, co się zapowiada, o czym się wykrzykuje, ale co się naprawdę z sobą niesie. Jeśli chodzi o najmłodsze pokolenie, jedynie smutny jest fakt, że niesie ono z sobą rzeczywistość mało, zbyt mało. Ale że wielu najmłodszych poetów czuje się „małymi, miernymi”, to nie tylko ich wina. Należy nie tylko notować ze smutkiem fakt i oburzać się, ale zastanowić nad przyczynami.

Warto poświęcić więcej uwagi przemianom ideowym wśród młodej literatury, oraz jej stosunkowi do świata, do aktualnej rzeczywistości. „Stabilność, uładzenie świata”, w którym żyją młodzi — jest pozorna. „Skostnienie” występuje, ale tylko u tych jednostek, które — czy to z lenistwa duchowego czy konformizmu — przyjmują określoną postawę ideową, bez jej przeżycia, przemyślenia. Bardziej typowe jest wewnętrzne rozdarcie, niepewność, niepewność, obawa. Zjawisko to występuje przede wszystkim wśród młodej literatury pochodzenia mieszczańskiego-inteligenckiego, która staje na ideowym rozdrożu, wahając się w decydującym wyborze. Odnosi się to — podkreślam — do poetów indyferentnych, poetów szukających. Nie będą mówili o poetach, którzy już doszli, wybrali... Ich droga jest inna.

Wielu jest młodych, którzy zerwawszy ze starym, tocząc często ciężkie walki ze sobą, z naciskiem reakcyjnego otoczenia, nie potrafią afirmować nowego. Są zawieszani jakby w próżni. Zdezorientowani tym co się wokół dzieje, zmianami związanymi z rozwojem w naszym kraju socjalistycznego życia, nie mają do tego życia, w którym siłą rzeczy uczestniczą — własnego wyraźnego określonego stosunku. Nie rozumieją go.

Widzą świat, życie „n a s z a r o”. Tak — jak się ono wydaje — im — pozostającym na zewnątrz. Nie widzą s t a w a n i a s i ę — tylko obraz statyczny. Tak, jak go widzi obojętny, niezaangażowany obserwator. To się odbija na ich poezji.

Trzeba im pomóc. Nie można liczyć tylko na samodzielne dojście, zrozumienie naszego świata. Świat ten jeszcze jest zbyt powikłany, zbyt niepokojący — kłębującym się chaosem zawartych w nim wartości.

Revolucja trwa. Czy można się dziwić że sympatyzującym z nią k i b i c o m trudno dostrzeć, gdzie jest prawda, skoro nie zawsze potrafią ją znaleźć najbardziej

bezpośrednio w rewolucji zaangażowani. „Stabilność, świat uładzony” — to tylko łatwe schronienie lekających się myślenia, upraszczający obraz ich rzeczywistości. Pusta, wyuczona modlitwa przed doskonale ukształconym posągami idei, podczas gdy wszędzie wokół toczy się walka o jej żywą treść.

Owa tak gorsząca krytyka — gorzyc zawarta w wierszach najmłodszego pokolenia, wynika właśnie z tęsknoty za „niebem w piemiach” (wielkim, wolnym wyborem), które tak trudno odnaleźć i zobaczyć, gdyż jest z a s t o n i ę t e. Zasłonięte plachtami papieru upstrzonego owymi „etykietkami, ostrzeżeniami, drogowskazami” o jakich pisze autor, zasłonięte chmurami: głupoty, obłudy, formalizmu, „sztywnej dogmatyki”, opadającymi z tych chmur strugami słów, słów, słów... nie wypełnionych piórnikiem.

Nie dziwny się wlec, że dla wielu młodych „świat zawężił się i zmalał, skarłał pozbawiony swoich wielkich, filozoficznych dziejowych rozmiarów”. Ale ten dany im jakby do indywidualnego „rozgrzyszenia” świat — wbrew wszystkim pozorom — nie wystarczy. Czy nie mówi o tym chociażby wiersz Sliwonika „Myszy”?

Zaszyli w kąt dnia szukamy bogów chcemy rwać obojętną przestrzeń rwiemy tylko za ciasne kotnieryzki...

ZBIGNIEW DOLECKI

Mogę dodać inny cytat innego poety:

Młodość naszą okuto srebrem lodu
młodość naszą przywalono nudą
Odrętwiono nas wrzaskiem papierowych hasel
kazano śpiewać nieprawdę i radość
Pragniemy powietrza.

Wrogosć? Nie — to tylko niezgoda na fałszywy obraz rewolucji. I nie rozpacz, nie histeria, nie biadolenie.

A propos: „biadolenia”, „mazgajstwa” itd. Autor „pamfletu” na najmłodszą poezję, opisując swoje wrażenia nowego programu „Studentenckiego Teatru Satyryków” mówi między innymi o skecu pt. „Pierrot” („...Siedzi na scenie chłopak, a obok niego dziewczyna w czerwieni, sztywna i zaszyta”). Skecz ten jest kapitalnym protestem przeciwko wulgarności, bezduśności i zautomatyzowaniu psychicznemu w życiu młodzi. Tej młodzi, dla której wszelki idealizm, romantyka, poezja w życiu jest czymś śmiesznym i godnym pogardy. Niezrozumiałym. Dziwne, że autor „Naszych pieszczochów” widząc tu tylko jakieś niepokojące mazgajstwo również „nic nie rozumie”. Można w tedy zacząć podejrzewać, że nie

rozumie również wielu innych rzeczy.

Wszelkie teoretyzowanie, przyglądanie się z góry „mrowisku”, o którym wspominałem na początku — przynosi zwykle niewielkie rezultaty.

„Aby dowiedzieć się, dlaczego tak wiele sądów — zarówno inicjatora dyskusji, jak i innych jej uczestników — jest tylko p o z o r n i e słusznym, należy nie poprzestając na znajomości — i to częściowej — p o e z j i młodych, poznać s a m y c h p o e t ó w, ich życie, warunki, wpływy, jakim ulegają, cały ich dzień powszedni. Podszewka kryje wiele rzeczy wymykających się „odgórnemu” rozeznaniu. Oczywiście, krytyka interesuje przede wszystkim t w ó r c ó w. Na jej podstawie osadza, wybiera sobie t w ó r c ó w. Rzadko uda mu się jednak ujrzeć ż y w e g o c z ł o w i e k a.

KILKA PRZYKŁADÓW

POETA O. Ze względu na pochodzenie społeczne i brak zaradności, ten zdolny i oryginalny liryk znajdował się do niedawna w katastrofalnych warunkach materialnych. Nikt się nim nie zajął. W lecie ub. r. aby zarobić na dwa piśkiki dziennie w barze mlecznym,



WOJCIECH ALBIŃSKI

ROMAN ŚLIWONIK

Wys. Gabriel Rechowicz

Wyrok

Tak wielu ma brzydkie nosy lub czoła
obnoszą swe nieszczęście
pytają
kto na nas wydał wyrok samotności?
dlaczego na zabawach jest smutno?
i choć nie wolno niczyjej miłości odrzucać
dlaczego nasza jest śmieszna?

Koncert jazzu

Pięciu młodzieńców w koszulach
robiło jazz
Pierwszy samopas na trąbce
srebrzystym przeraźliwym larum
zanosił pieśń tak wysoką
że drżały kolana kobiet
a w ich oczach zapalała się południowa noc
Drugi strącał z czyneli
płacz albo śmiech dziecka
bił na oślep w napiętą powłokę bębna
dopóki z ciszy w której słychać było tylko drzenie
nie urosł krzyk
od którego ogłuchły puzyry

*

Ktoregoś ranka
kiedy myśl bywa najjaśniejsza
przyjdzie spokój
Będzie to dziwny
nieludzki dzień
przyjdzie spokój
wtedy przedrę arkusz leżący na stole
i kornie wyszeptę Poezja

Zamieszczono obok wiersze dwóch przedstawicieli najmłodszego pokolenia poetyckiego — odbyły długą podróż po szufladach redakcji wszystkich warszawskich pism społeczno-kulturalnych i literackich. Niestety — dużo się u nas mówi ostatnio o młodych poetach, o młodej poezji, a czytelnicy nie mają możliwości poznania ani jednego wiersza poety, o którym się pisze, którego się publicznie, „na lamach” targa za uszy lub (o wiele, wiele rzadziej) gładzi po rozwichrzonym czuprynie.

Czytelnicy znają tych poetów jedynie z cytowanych strzępów wierszy — służących jako broń w szermierce słownej wielkich literatury i publicystyki. Czytelnicy czekają... (na wiersze...), wiersze czekają... (na czytelników...), młodzi poeci czekają... (na wiersze...).

Młodzi poeci czekają zbłąka gromadka, poza piecami nauczycieli i wychowawców. Czasem któryś odważniejszy próbuje wychylić głowę, kuskaniec przywołuje

go zaraz do porządku. Znajdują się jednak niepoprawni. Do nich należą i dwaj poeci prezentowani dziś na lamach naszego pisma. Ich upór — poparty cierpliwym wydrętywaniem stołecznych ulic — przyniósł jednak „owoce. Pierwsze większe wystąpienie umożliwiła im — przed tygodniem — redakcja „Po Prostu”.

Redakcja nasza zdecydowała się na druk wierszy R. Sliwonika i W. Albińskiego przede wszystkim ze względu na to, że utwory ich w dużym stopniu reprezentują twórczość wielu innych młodych, cechuje je — niepokój ideowy i poszukiwanie pozytywnych wartości, które pozwoliłyby na rozjaśnienie świata i przyjęcie określonego doświadczenia.

Obaj poeci widzą niepokojące problemy moralne życia — i starają się — poprzez próby dotarcia do ich źródeł — dać na nie sobie samym i innym — odpowiedź.

zbierał na podmiejskich łąkach i sprzedawał kwiaty. Mieszkając w małej kłitce, z pięcioma obcymi osobami, wdał często spędzać noc na dworcach kolejowych... Tak to wygląda prawda. A później — mądry panowie w redakcjach literackich tygodników mówią: „tak, to jest zdolny poeta, ale razi nas ten pesymizm, ta nuda beznadziejności”...

Poeta B. to jeden z najmłodszych rzekomych „pieszczochów” naszej poezji. Energiczny, zaradny, trochę może zbyt zapalczywy, nie utemperowany; zarzewie wszystkich koleżeńskich dyskusji. Zdolny organizator. Pragnąłby nie poprzestawać na pisaniu, ale „coś zrobić” dla sprawy poezji. Poświęca pół dnia na kontakty z ludźmi, „którzy mogliby pomóc”; mobilizuje, przekonuje. Znają go chyba wszystkie redakcje. Przeprowadza rozmowy z pisarzami, zagląda od „kuchni” do ZLP. Pragnie zorganizować estradę poetycką, klub, jakiegokolwiek miejsce „na ziemi”, z którego młodzi poeci mogliby się dać poznać, zaprezentować społeczeństwu. Niestety; cały jego zapał na nic. Ci, którzy by „coś mogli”, mówią: „no tak, racja, należałoby coś zrobić. Trzeba koniecznie pomyśleć”. Ale nikomu nie chce się zabrać do tego, zacząć. Doprawdy, bardzo, bardzo mało jest ludzi — poza bezpośrednio zainteresowanymi — którzy leżą na sercu przyszłość na-

szej poezji. Przyszłość uzależniona w dużym stopniu i od tych — dziś — najmłodszych.

Poeta Z.: zamknięcie się w zmiernym kręgu subiektywnych doznań intelektualnych. Egoocentryzm. Wiersze jego irytują. Jest w nich tylko powielony w wielu wersjach stosunek: poeta — byt. Krytyk, do którego ręką przypadkiem dostanie się kilka tych wierszy. Powie: „to za mało”. I będzie miał słuszność. Ale nie wie, że warunki życiowe autora układają się w ten sposób, że jest on praktycznie skazany tylko na siebie. Nie z własnej woli. Jakże żarliwie rzuca się na spotkanie na ulicy jednego z nielicznych kolegów, aby z nim rozmawiać: pięć, sześć, siedem godzin — o poezji. Jakże wycekuje, mając trochę czasu na krytykę, od którego pragnąłby usłyszeć cennej wierszy. Czemu mu potrzeba? Mądrej o r e j o p i e k i. Tak jak i innym...

G. jest młodym, dwudziestoletnim chłopcem. Nikt by — patrząc na jego jeszcze dziecięcą twarz — nie przypuścił, że to już „stary koneser”, bywalec literackiego świata, wysiadły kawiarniany, szczytający się znajomością wielu wybitnych pisarzy. O nim można powiedzieć, że był „pieszczochem”. Sam podsuwał „głównię” pod gładzące dłonie. Był naprawdę utalentowanym, dobrze się zapowiadał, kiedy głędnienie nie wyszło mu na dobre. Zaraził się snobizmem. Zaczął pisać „pod Zachód”, wykonywane, sztuczne wiersze-potworki. Zaczęło mu się wydawać, że polapanie tu i ówdzie strzępy cudzej mądrości, cudzego talentu wystarczą, aby uczynić z niego poeę. Ze rozmowa przy kawie z Y czy X pasuje go na intelektualistę „Europejczyka”. Bez systematycznej pracy, bez trudnego, upartego zdobywania wiedzy o życiu. Takie bywają skutki niefrasobliwego „pieszczenia”.

Wiersze S. leżą w szufladach wszystkich stołecznych pism kulturalno-literackich. Ciekawe, dobre wiersze. Leżą i czekają na zmłotowanie. Kiedy autor przyjdzie do redakcji, mówi się: Jesteśmy bardzo zainteresowani. Ma pan talent. Pomyślmy o druku. Może przy okazji „kolumny młodych”, może damy „okienko”. Na tym się kończy. Jak dotąd poeta ujrzał w druku bodaj że jedynie fragment swego wiersza, służący jako dowód słuszności tez autora o młodej poezji. Zbierając „nieoficjalne” opinie, S. dowiadyuje się, że jego wiersze są zbyt „formalistyczne, smaczkowate”, „nie podchodzą”. Brak jednak na każdym kroku — szczerego stosunku, serdecznej pomocy.

Jeszcze jeden przykład. M. — młoda dziewczyna, przybyła z prowincji na podbój literackiej Mekki, jaką jest Warszawa. Walczy o zwrócenie na siebie uwagi. Ma dzieś się spotkać dziennie z krytykami, pisarzami, redaktorami, kimkolwiek „z branży”, kto mógłby ocenić, doradzić, pomóc. Wiersze są słabe. Nie dlatego, że ich autorka pozbawiona jest talentu, lecz — że ma humorystyczny wprost stosunek do twórczości. W swej naiwności dziewiętnastu lat, sądzi np., że dwie godziny w „Literackiej” czy „Telimienie” wystarczy na napisanie kilku dobrych wierszy. Jej ambitna droga do kariery literackiej, może doprowadzić ją do kariery „kociaka literackiego”.

Takie to są powszednie blaski i nędze rzekomych pieszczochów, jeśli termin ten można rozszerzyć na całe najmłodsze pokolenie poetyckie.

Oczywiście nie są bez winy i sami poeci. Niektórym brak energii, samodzielności, idą po najmniejszej linii oporu. Ulegają wszelkim przelotnym impulsom, wpływom. Innych ogranicza ich własne lenistwo, wygodnictwo, niechęć do poważnej, wymagającej niekiedy poświęceń pracy. „Siedzimy w kawiarniach. Znamy życie tylko z gazet. Czasem „łapiemy” jakiś pomysł — i piszemy” (autentyczna wypowiedź). Są tacy, którzy mają zabezpieczenie materialne (w postaci np. stypendium Ministerstwa Kultury) utwierdziwszy się w mniemaniu o własnej przynależności do „świata artystycznego”, trawiają czas na dyspuach o wyższości Eliota nad Aragonem, czy też o przestarzałości wiersza stroficzego. A w teckach, w brulionach — pusto.

(Dokończenie na str. 7)